Nr. 217. Lwów — Sobota dnia 20 Września. Rok 1902.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:
w kraju i Austryi miesięcz. 2 k. 20 h.
w Niemczech . . . . . 3 „ — „
w innych Państwach . 4 „ — „
Za zmianę adresu dopłaca się 40 „
Opłatę należy uiścić równocześnie z [illegible] niem zmiany adresu
Prenumerata we Lwowie miesięcznie 2 k
Numer kosztuje we Lwowie 8 h
na prowincyi 12 h
Numera z poprzednich dni po 20 h.

Wszelkie DONIESIENIA PRYWATNE o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, opisy uczt i zabaw prywatnych, reklamy dla balów, odczytów i koncertów, spisy składek, doniesienia o zgubach, znalezionych przedmiotach i t. d. po 1 k. od wiersza.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

OGŁOSZENIA I PRZEDPŁATĘ MIEJSCOWĄ przyjmuje wyłącznie:
Ajencya dzienników Sokołowskiego we Lwowie
Pasaż Hausmana l. 9.

Ceny ogłoszeń:
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
wiersz petitowy albo jego miejsce 20 h.
W drobnych ogłoszeniach:
tłustym petitem za każde słowo 4 h.
tłustym garmondem „ „ 6 h.
koresp. prywatne „ „ 8 h.
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia: wiersz petitowy albo jego miejsce . . . . . 60 h.
Reklamy po kronice wiersz petit. 1 k.
Ogłoszenia na czele numeru na pierwszej stronicy wiersz petitowy . . . . 60 h.

Dziś: św. Eustachiusza — Sozonta M.
Jutro: św. Mateusza B. — Narodz. NMP.

Adres Redakcyi i Administracyi Lwów, ul. Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski.

Wschód słońca o g. 5 m. 50
Zachód „ „ 5 m. 56

Długość dnia godzin 12 minut 6
Ubyło dnia od wczoraj 2 min.

Refleksye o reformie wyborczej.

II.

Zastanawiając się nad tem, na jakich podstawach opierać się powinna dobra ustawa wyborcza, dochodzi wielu poważnych myślicieli do wniosku, że podstawą jej powinny być wolne stowarzyszenia.

Nowoczesne bowiem społeczeństwo zawdzięcza rozwój wszelkich stosunków przeważnie działalności stowarzyszeń, począwszy od wielkich akcyjnych, aż do niezliczonych drobnych i miejscowych, to też sam przez się nasuwa się wniosek, że wolne stowarzyszenia, jako najważniejsza, rzeczywista, nowoczesna grupa interesów społecznych, przy układaniu ustawy wyborczej w sposób właściwy uwzględnione być powinny. Jeżeli mają głos i wybierają posłów Izby handlowe, które są przecież niczem innem, tylko stowarzyszeniami, to jest logicznem żądanie, żeby i inne stowarzyszenia, które reprezentują na stałej podstawie poważne materyalne i duchowe interesy, także, jako prawne osoby głos przy wyborach otrzymały. Oczywiście, nie może tu być mowy o stowarzyszeniach rozrywkowych, ani o czysto administracyjnych, ale należy się prawo głosu stowarzyszeniom zawodowym, jak np. wszelkie akcyjne, przemysłowe, komunikacyjne, asekuracyjne, wszelkie stowarzyszenia współdzielcze, izby notaryalne, lekarskie, adwokackie, rękodzielnicze i robotnicze, wszelkie zakłady i instytucye naukowe, towarzystwa lub izby rolnicze, towarzystwa sztuk pięknych, duchowieństwo uznanych wyznań itd. Stowarzyszenia te powinny albo wprost wybierać posłów swoich, jak to już czynią izby handlowe, albo też wybierać ich wspólnie, podzielone na grupy według pokrewnych swoich zadań. Określenie pewnych zasad w tym celu nie przedstawia zbytecznych trudności. Stowarzyszenia należy podzielić według ich celów na siedm grup, czyli podziałów, jako to: naukowe, komunikacyjne, handlowe, przemysłowe, rolnicze, stowarzyszenia dla celów duchowych i wyznaniowe.

Wśród licznych projektów wyborczych, jakie wyłoniły się w Austryi w ciągu lat ostatnich, żywo zajmowano się swego czasu projektem Schäfflego, który w zasadzie był wprawdzie za powszechnem głosowaniem, ale chciał zarazem stworzyć dla niego jakąś przeciwwagę, jakiś hamulec. To też proponował on ażeby tylko połowę albo dwie trzecie posłów wybierano przez głosowanie powszechne, a resztę, aby wybierały osobne koła wyborcze, tj. rady gminne i korporacye zawodowe. W projekcie tym jednak stanął Schäffle w sprzeczności z samym sobą. Ustawa nie może opierać się na wręcz wyłączających się nawzajem zasadach. Zrobiono już niestety taką próbę w Austryi, tworząc obok innych kuryę piątą na podstawie socyalistycznego hasła; a wiadomo, że skutek jest opłakany, że ta piąta kurya to zasiew chaosu, nienawiści, rozstroju, negacyi i gwałtu. Korporacye, jak je Schäffle rozumie, byłyby wprawdzie uprawnionym nowym żywiołem w ustawie wyborczej, ale one nie obejmują rzeczywistych stosunków. Potrzeba się posunąć o jeden krok dalej w procesie myślenia, ogarnąć wszystkie stałe uprawnione ustroje, które nowoczesne społeczeństwo wytworzyło, a wtedy słowo i pojęcie „korporacye“ zamieni się na pojęcie i słowo „stowarzyszenia zawodowe“.

Jeżeli parlament ma czynić zadosyć potrzebom kultury, rolnictwa, przemysłu, handlu, pracy ręcznej, to wszystkie czynniki życia społecznego muszą mieć możność własnej obrony w parlamencie, więc w ustawie wyborczej muszą być uwzględnione we właściwy sposób wszystkie interesy i wszystkie zawody, musi być ona ułożona w ten sposób, żeby wszystkie uprawnione i żywotne ustroje mogły zawsze i na przyszłość być do niej wcielane, żeby tym sposobem parlament mógł być zawsze prawdziwem zwierciadłem narodu, oraz ażeby wybory mogły być wykonywane bez zaburzeń i gwałtów. Ale reforma musi sięgać jeszcze dalej, musi wziąć pod rozwagę także dotychczasowe kurye. Dotychczasowy szablon podziału na grupy interesów jest wadliwy, nie odpowiada również rzeczywistym stosunkom w zasadzie lub w wykonaniu.

Co do wyborów z gmin wiejskich, to wybory bezpośrednie z gmin włościańskich są zachwalane, jakoby postępowe i demokratyczne. Ale są one raczej wszystkiem innem, niż postępem i demokracyą. Wybory bezpośrednie w gminach wiejskich stałyby się bałamutnym środkiem wyłącznie agitacyjnym, tumanieniem innych i siebie samego, środkiem cezarystycznym i chaotycznym. Ustawie o wyborach bezpośrednich z gmin wiejskich brakowałoby głównego znamienia ustawy dobrej, która ma działać wychowawczo, kształcić, podnosić, uszlachetniać, następstwem tej złej ustawy byłoby tylko zamieszanie, demoralizacya, zaburzenie. Przeciwnie, wybory pośrednie z gmin wiejskich odpowiadają rzeczywistym stosunkom i są jedynie odpowiednie, bo chłop wybiera w swojej gminie swojego męża zaufania na wyborcę.

Głosowanie bezpośrednie, viritim, nawet w szlacheckiej Republice polskiej było przecież tylko karykaturą, środkiem dla zgubnych wichrzeń. W miastach należałoby zaprowadzić głosowanie wielokrotne, t. z. pluralne wota na podstawie reprezentacyi interesów. Pierwszą próbę z tym systemem wyborczym zrobiono w Belgii i dała ona stosunkowo dobre rezultaty. Opiera się zaś ten system na następujących zasadach: Należy sporządzić tyle list wyborców, ile jest grup, mianowicie: właściciele nieruchomości, przemysłowcy, rękodzielnicy, kupcy, inteligencya. Każdemu obywatelowi miejskiemu powinno przysługiwać tyle głosów, na ilu listach wyborców się znajduje. Zasada głosów wielokrotnych i według dzisiejszej ustawy się praktykuje w pewnym stopniu w Austryi. Należy tylko ową zasadę konsekwentnie przeprowadzić. Wspólne głosowanie, lecz z przyznaniem głosu wielokrotnego każdemu, kto do kilku grup należy z osobna w każdej grupie będzie zarazem uszanowaniem zasady sprawiedliwości i reprezentacyi interesów.

W niektórych publikacyach z lat ostatnich znajdujemy nową myśl, zasługującą na to, ażeby ją wzięto pod gruntowną rozwagę. A mianowicie, ażeby także kolonie obywateli austryackich, osiadłych za granicą, wysyłały własnych posłów do parlamentu kraju macierzystego.

Kolonie takie, przybierające formę izb handlowych lub wielkich stowarzyszeń, istnieją w wielu miastach zagranicznych, jak np. w Paryżu, w Konstantynopolu i t. d., pod opieką i nadzorem własnej, austryackiej władzy, ambasad, albo konsulatów. Przyznanie takim zorganizowanym koloniom prawa wyboru posła byłoby wielce pożądanem, utrzymałoby ich łączność z państwem, a niewątpliwie przysyłałyby te kolonie posłów zawodowych, poznajomionych ze stosunkami międzynarodowymi.

Na wzmiankę zasługują w końcu bardzo poważne głosy, domagające się, ażeby ustawa nadawała obywatelom nietylko prawo wyborcze, ale wkładała na nich także obowiązek wykonywania tego prawa. Zaobserwować bowiem można, że obecnie niemal przy wszystkich wyborach żywioły najpoważniejsze, najrozumniejsze i najbardziej dodatnie usuwają się od udziału w wyborach, zrażone lub wprost odstraszone wybrykami agitacyjnymi sfer radykalnych, które w ten sposób stają się panami sytuacyi. O ileż inaczej wypadłyby wybory, gdyby każdy, mający prawo wyborcze, musiał oddać swój głos. Takie nałożenie przymusu na obywateli możliwe byłoby jednak tylko w takim razie, gdyby równocześnie ustawodawstwo zapewniło w całej pełni swobodę wyborów i nieubłaganie karało wszelkie nadużycia agitatorów. Z drugiej strony nieodzownym warunkiem nałożenia takiego przymusu wykonywania prawa wyborczego musiałaby być gruntowna zmiana techniki przeprowadzania wyborów. W dzisiejszych stosunkach żądać od obywatela dystyngowanego, ceniącego swój czas i swoją godność, aby spieszył do ratusza, przeciskał się przez tłumy krzykliwych agitatorów, narażał się na poszturkiwania i zaczepki i ocierał się o indywidua, budzące wstręt i obrzydzenie, znaczy to wymagać od niego za wielkiej ofiary. Jeżeli się chce, ażeby każdy obywatel spełnił swój obowiązek wyborczy, należy mu to uczynić jak najmniej uciążliwem i jak najmniej nieprzyjemnem. A więc np. we Lwowie powinien być nie jeden lokal wyborczy, ale choćby i dziesięć lub piętnaście, po wszystkich dzielnicach tak, ażeby oddanie głosu połączone było z jak najmniejszą stratą czasu, a co najważniejsze, ażeby te lokale wyborcze nie były oblężone przez zgraje obdartusów, aby na korytarzach i w salach wyborczych nie było ścisku i aby porządny człowiek, biorąc udział w wyborach, nie doznawał tego wrażenia, że znajduje się w bardzo niedobranem i bardzo nieprzyjemnem towarzystwie.

Korespondencye.

Wiedeń, 18 września.

(Drożyzna mięsa. — Wybory do Sejmu dolnoaustryackiego).

(y). Wiedniowi zaczyna grozić drożyzna mięsa. Na ostatnim targu tygodniowym podniosła się cena wołów nagle o przeszło 4 korony na 100 kilogramach żywej wagi, a zachodzi obawa, że w najbliższych dniach cena bydła na rzeź, a temsamem także mięsa, będzie jeszcze droższa, gdyż dowozy bydła z Węgier i z Galicyi są nadzwyczajnie małe. Na ostatni np. targ tutejszy przywieziono z całej Galicyi wszystkiego 67 wołów opasowych, a 57 z paszy. Powodem tego drożenia ceny bydła i mięsa jest wyłącznie brak mięsa w Niemczech. Ajenci niemieccy objeżdżają bowiem zarówno Węgry, jak Galicyę i Bukowinę i zakupują bydło, gdzie tylko dostać mogą i płacą dobre ceny. Co roku np. o tej porze nadchodziły do Wiednia znaczne transporty wołów opasowych z Bukowiny, w tym roku wcale one nie nadejdą, gdyż wszystkie zakupili Niemcy. Nietylko woły poszukiwane są obecnie w naszej monarchii na eksport do Niemiec, ale także inne gatunki zwierząt, osobliwie świnie. Przewożone są one do rzeźni położonych najbliżej granicy niemieckiej, tam są zabijane i mięso z nich rozwożone jest po całych Niemczech. Nierogaciżny na zabicie poszukują Niemcy obecnie przedewszystkiem w Galicyi. Przełożeństwo tutejszego cechu rzeźników naradza się obecnie nad tem, co począć, jeżeli drożyzna bydła i mięsa robić będzie dalsze postępy.

Wybory do Sejmu dolno-austryackiego już zostały rozpisane, a agitacya wyborcza zawrzała na całej linii. W Wiedniu odbędą się wybory w dniu 5 listopada. Bardzo na rękę dla rządzącego obecnie nietylko w wiedeńskiej radzie miejskiej, ale i w sejmie stronnictwa antysemickiego jest to, że właśnie w przeddzień wyborów sejmowych wprowadzono w życie uchwaloną głównie za staraniem antysemitów nowelę do ustawy przemysłowej, zabraniającą handlu obnośnego, przyjmowania zamówień przez ajentów podróżujących itp. Stronnictwo antysemickie może bowiem przed wyborcami poszczycić się sukcesem praktycznym, każdemu w oko wpadającym, a taki sukces znaczy więcej niż sto programów, które dopiero kiedyś w przyszłości mają być zrealizowane. To też niewątpliwie całe masy drobnych kupców, przemysłowców i rzemieślników, pójdą zwartą ławą głosować na antysemickich kandydatów. Niemniej jednak będzie walka nadzwyczaj zawzięta, bo zarówno liberałowie jak i socyaliści wytężać będą wszystkie siły, aby złamać dotychczasową przewagę stronnictwa antysemickiego. Wobec tego, że liberałowie rozporządzają kolosalnymi kapitałami i z lekkiem sercem mogą poświęcić na wybory choćby i miliony, socyaliści zaś mają bardzo czynnych ajentów w nauczycielach ludowych, spodziewać się należy niesłychanie zażartej walki zarówno w Wiedniu jak i na prowincyi. Jednym z głównych zarzutów, jaki liberałowie i socyaliści robią antysemitom, jest zarzut marnotrawstwa grosza publicznego i wpędzania Wiednia w długi na 300 milionów koron. Antysemici odpowiadają jednak na ten zarzut, że pieniędzy nie zmarnowali, lecz stworzyli za nie rzeczy bardzo pożyteczne, które z lichwiarskiemi procentami wrócą gminie poczynione wkłady. Ot np. gazownia miejska, na którą miasto wydało przeszło 60 milionów koron, już dziś przynosi 13% dochodu. Oprócz gazowni stworzono za rządów antysemitów miejskie zakłady elektryczne, wykupiono wszystkie linie tramwajowe i rozpoczęto budowę drugiego wodociągu. Elektryka i tramwaj jeszcze nie dają spodziewanych dochodów, a nowy wodociąg jeszcze nie skończony, trudno zatem dziś już wyrobić sobie sąd o tem, czy 300 milionowe inwestycye wiedeńskie będą się należycie rentowały lub nie.

W sprawie wiecu narodowego.

Tymczasowy Komitet wiecu narodowego nadsyła nam przytoczony poniżej komunikat. Jakkolwiek nie zgadzamy się z tym wiecem i stanowczo jesteśmy mu przeciwni, to jednak dla informacyi naszych czytelników komunikat ten podajemy w całości. Opiewa on jak następuje:

Tymczasowy Komitet wiecu narodowego odbył 18 bm. we Lwowie posiedzenie pod przewodnictwem posła T. Romanowicza. Na posiedzeniu tem, oprócz dotychczasowych członków, wzięli udział także delegowani przez stronnictwo narodowo-demokratyczne posłowie na Sejm i do Rady państwa, którzy zgłosili swe przystąpienie do Komitetu.

Sekretarz Komitetu, dr. Mikołajski odczytał spis stowarzyszeń i przeszło 200 osób z całego kraju, które zapowiedziały bądź to udział swój w projektowanym wiecu, bądź też referaty. W liczbie tych ostatnich znajdują się pp. posłowie: Bojko, Włodzimierz Gniewosz, Wład. Gniewosz, prof. dr. Głąbiński, Adolf Cieński, Jan Wielowieyski, hr. Krzysztof Mieroszewski, prof. Thullie, red. Konopiński, Kaz. Bartoszewicz, Wład. Stadnicki, Tad. Stamirowski i inni.

Dotychczas zgłoszono kilkanaście referatów, a nadto wiele osób nadesłało opinie i wnioski, dotyczące organizacyi i programu obrad wiecowych. Dla rozpatrzenia tych opinii i wniosków i przedstawienia ich Komitetowi, wybrano subkomitet, do którego weszli pp.: Jan Kasprowicz, dr. Rutowski i K. Wróblewski. Drugi subkomitet, złożony z pp.: dra Mikołajskiego, J. N. Popławskiego i Romanowicza, ma opracować regulamin wiecowy, a to na podstawie projektu, przedstawionego przez dra Mikołajskiego.

Z pomiędzy osób, które dotychczas na wiec się zgłosiły, postanowiono utworzyć stały Komitet wiecowy i w tym celu rozesłać zaproszenia. Posiedzenie tego Komitetu odbędzie się we Lwowie 28 bm. o godz. 10 przed południem w sali Rady miejskiej, a to z następującym programem obrad:

1. Sprawozdanie komitetu tymczasowego z dotychczasowej akcyi. Wyniki ankiety w sprawie wiecu. Sprawozdanie kasowe.
2. Ukonstytuowanie komitetu wiecowego. Wybór prezydyum i wydziału wykonawczego.
3. Dalsze kooptowanie członków komitetu.
4. Omówienie i ustalenie programu, oraz terminu I. wiecu narodowego. Podział Komitetu na Komisye sekcyjne. Ustalenie dalszego porządku akcyi wiecowej. Uchwalenie regulaminu obrad I. wiecu narodowego.
5. Uchwalenie odezwy Komitetu wiecowego.
6. Wnioski.

Z chwilą ukonstytuowania się Komitetu wiecowego ustąpi i przestanie działać Komitet tymczasowy, którego zadaniem było tylko wdrożenie akcyi wiecowej.

Co i o czem piszą.

W czasopismach naszych pojawiają się co pewien czas „listy do redakcyi“, przepełnione skargami na lekarzy. Dominującą rolę w tych lamentach, ujętych zazwyczaj w formę bezimienności, odgrywa sprawa tak zwanych „honoraryów“. Ten się targował przy łożu pacyenta, tamten z góry żądał zapłaty, ów odrzucił zawinięte w papierek pieniądze, czwarty wylikwidował sumy olbrzymie za operacyę dokonaną — słowem, publiczność nie może się jakoś uporać ze sprawą wynagradzania usług lekarskich, a lekarze z goryczą na ustach skarżą się na pacyentów, gotowych zawsze zapłacić szewcowi za buty, ale uważających opłacanie lekarzy za rodzaj łaski lub uprzejmości.

Sprawa ta, pokutująca już od Bóg wie jak dawna w prasie naszej i będąca zgrzytem niemiłym w stosunkach lekarzy do publiczności, powinnaby nareszcie, w jakiejkolwiek formie, doczekać się uregulowania. Dzisiaj faktycznie nikt nie wie dokładnie, według jakiej normy wynagradzać usługi lekarskie. Kilku specyalistów wybitniejszych ma taksy stałe, które z czasem zdobyły sobie przywilej nietykalności, ale szary ogół lekarski bywa wynagradzany według indywidualnego widzimisię pacyentów. Sama nazwa „honoraryum“ świadczy wymownie, że wynagrodzenie lekarskie ma archaiczny charakter podarku czy też daniny, lecz nie jest oparte na zasadach płacy najemnej, równoważności przedmiotów wymienionych. Honoraryum daje się niby łapówkę lub napiwek, nie jako zapłatę za towar, którym w stosunku lekarza do pacyenta jest praca, wiedza, fatyga lekarska.

Bardzo zajmujący i zasługujący na szersze rozpowszechnienie artykuł poświęcił tej sprawie w sierpniowym zeszycie *Krytyki lekarskiej* dr. G. Lewin, młody lekarz, który już niejednokrotnie wytaczał rozprawy ciekawe o kwestyach etyki lekarskiej, przesądach lekarskich, zakorzenionych wśród publiczności i t. p. Zaznaczywszy, że z wyjątkiem chirurgów, którzy zazwyczaj przed operacyą umawiają się o

---

52)

BLANKA HALICKA

Obok szczęścia

Powieść

(Ciąg dalszy).

Gorwicz zbliżył się do stołu.

— Co, wszystkie butelki już wysuszone? Swoją drogą, znając oddawna wielce szanowne, a tu obecne towarzystwo, wiedziałem z góry, że tak będzie, i jako gospodarz domu, i to z łaski tej ślicznej pani — tu złożył przesadnie głęboki ukłon śmiejącej się Mizzi — pomyślałem zawczasu o tem, żeby nasi goście nie cierpieli pragnienia, będącego jedną z najgorszych plag, trapiących rodzaj ludzki. Franz, wnieś mi tu szampan, który kazałem przynieść za sobą!

Służący uwinął się szybko; za chwilę pojawiło się na stole dziesięć nowych butelek, które przyjęto głośnymi okrzykami radości.

Korki zaczęły strzelać; rozpoczęła się pijatyka, brzmiały śmiechy, krzyki, brukowe piosenki.

Nie minęła godzina, a wszyscy byli zupełnie pijani.

Kitty, cała czerwona, z rozpuszczonymi włosami, tańczyła baletowe pas de deux, a naprzeciwko niej, stały wielbiciel jej, szatyn, spocony, zadyszany, starał się naśladować każdy z jej ruchów, co przy ociężałej jego figurze wyglądało nader pociesznie.

Posągowa Hiszpanka leżała jak długa na aksamitnej sofie, oddychając ciężko, i patrzyła bezmyślnie przed siebie swymi olbrzymimi, tęsknymi oczami; bankierowicz stał obok, pożerając ją wzrokiem, i wachlował ją gwałtownie swoim szapoklakiem.

Blondyn o przerzedzonej czuprynie, pozbawiony pary, pocieszał się, śpiewając na całe gardło tłuste kuplety, i wybijając na stole takt pięścią, aż podskakiwały kieliszki i szklanki.

Na drugim końcu pokoju, swoim zwyczajem rozwalony na kanapie, z nogami wyciągniętemi w całej ich długości, siedział Gorwicz czerwony, pijany, jedną ręką obejmował rozchichotaną Mizzi, a drugą wznosił w górę ogromny kielich szampana i bełkotał ze śmiechem:

— Panowie i panie! Przyjaciele! Drogie, śliczne koteczki! Niech żyje moja nieboszczka żona — piję za jej zdrowie przez wdzięczność, że miała rozum umrzeć w samą porę, i wrócić mi wolność, złotą wolność! Hurra! Niech więc żyje stan wdowieństwa, i Mizzi, „unsere fesche Mizzi!“

XV.

W dwa lata później, w jadalnym pokoju w Wierzbowie, przy stole, nad którym zwieszała się zapalona lampa, siedzieli pewnego jesiennego wieczoru Roman Sławski, Mirski i Terenia.

Roman ubrany był całkiem czarno, a suknia Tereni była od dołu oszyta szerokim pasem żałobnej krepy.

Tydzień minął już, jak z tego domu, gdzie przeszło jej niemal całe życie w cichej pracy i poświęceniu, wyniesiono na cmentarz panią Annę Sławską.

Dawno już cierpiała na serce, i przeczuwała, że niewiele już czasu pozostaje jej do życia, lecz nie wspominała o tej chorobie nikomu.

I pewnego dnia umarła prawie nagle, tak cicho i pobożnie, jak żyła, mając zaledwie czas pobłogosławić tych dwoje swoich dzieci, Terenię, córkę przybraną, i tego syna ukochanego, który szczęśliwem zrządzeniem losu był właśnie wtedy w Wierzbowie.

Tydzień przeszedł już, a oni nie mogli jeszcze zdać sobie sprawy z ciosu, który spadł na nich, nie mogli uwierzyć, żeby jej naprawdę już nie było na świecie, tej matki kochającej i tak niezmiernie dobrej.

Siedzieli tak w milczeniu, a za oknami wiatr listopadowy jęczał i szumiał.

Wreszcie Mirski odważył się przerwać ponurą, długą ciszę:

— Nie mówiłem z wami wcześniej o tem, bo w takich chwilach wydaje się prawdziwem okrucieństwem poruszać wszelkie praktyczne i materyalne kwestye, ale dziś czas już rozpatrzeć się trzeźwo w przyszłości. Jakież macie zamiary? Ty, Romanie, masz swój cel już wytknięty, masz swój zawód, ale musimy coś obmyśleć dla panny Tereni. Wprawdzie byt ma zapewniony, jeżeli nie nadzwyczaj świetny, to w każdym razie przyzwoity i dostatni; według testamentu pani Olgi Gorwiczowej, staje się ona teraz właścicielką Wierzbowa po śmierci pani Sławskiej, która miała na nim dożywocie, ale zrozumiecie oboje, że jako młoda panna, sama przecież mieszkać nie może. Trzebaby więc pomyśleć o wyszukaniu jakiejś starszej osoby, rozumnej, zacnej i dobrze wychowanej, którąby była jej towarzyszką aż do czasu... aż do czasu, gdy wyjdzie za mąż.

Na to odezwał się głos Tereni jakoś sucho i twardo:

— Ja nigdy za mąż nie pójdę; pan wie o tem dobrze.

Roman podniósł wzrok na nią i w tej chwili spotkały się jego oczy z ciemnemi, smutnemi oczami dziewczyny, w których była już tylko wielka, słodka rezygnacya, lecz ona natychmiast spuściła je ku ziemi.

Jemu jednak ten jeden błysk i te słowa, krótkie, stanowcze, a wyrzeczone z takim nieskończonym smutkiem, zabrzmiały jak wyrzut, cichy, straszny.

Czyżby być mogło, żeby tyle, tyle lat, i nawet ta widoczna obojętność z jego strony nie zdołały były wymazać z jej serca tego pierwszego, dziewczęcego uczucia?

Wiedział od matki, że Terenia nigdy o zamążpójściu mówić sobie nie dała, i jeszcze przed paru laty odmówiła dwom młodym ludziom, którzy się o nią starali, a z których nawet jeden był świetną partyą dla biednej sieroty, nie mającej grosza posagu.

Dziś położenie jej materyalne zmieniło się; Olga umierając, pomyślała o jej przyszłości i przeznaczyła jej wszystko, co jeszcze z jej własnego majątku pozostało; lecz Terenia dziś powtarzała to samo co wtedy, że nigdy za mąż nie pójdzie, nigdy!

Odezwała się teraz spokojnie i łagodnie, jak zwykle, lecz z niezwykłą stanowczością, nie dopuszczającą dyskusyi:

— Mam już teraz na świecie jedną tylko krewną, cioteczną siostrę mojej matki, choć jej już od dziecinnych lat nie widziałam wcale. Jest ona obecnie przełożoną Sióstr Miłosierdzia w pewnym klasztorze w Galicyi. Tam pojadę teraz, w takich strasznie smutnych chwilach, bedzie mi tam najlepiej.

W oczach Mirskiego błysnął jakiś gniewny płomień.

— Pani już stamtąd nie wróci — rzekł szorstko. — Opanują panią te zakonnice, namówią i wciągną pomiędzy siebie.

— Nikt mnie nie będzie potrzebował namawiać, wpływać na mnie. Ja ten zamiar miałam już dawno. Pani Sławska wiedziała o tem. Kiedym się jej z tem zwierzyła, o, już więcej niż rok temu, powiedziała mi tylko, żebym poczekała jeszcze, żebym jej nie opuszczała póki ona żyje. Mój Boże! Nikt z nas nie myślał, żeby tak prędko... Ale teraz już doprawdy nikomu nie jestem potrzebna, a tylu biednych, tylu chorych jest na świecie; może choć im na coś się przydam.

— A my, panno Tereniu? Czy my dwaj już i torby sieczki nie warci, czy z nami dwoma już całkiem kwita z przyjaźni, że pani ani o nas nie pomyśli? — spytał Mirski szorstko, choć w głosie jego drgało wielkie wzruszenie.

— Pan wie dobrze, że prócz pana... i Romana... nie mam nikogo na świecie, ktoby o mnie dbał choć trochę; ale i wy... obejdziecie się bezemnie doskonale. Roman ma swoją pracę, ma sławę już wielką i rosnącą jeszcze coraz bardziej, a pan...

— Ja mam mój garb, to mi powinno wystarczyć, nieprawdaż? — spytał Mirski z goryczą.

Terenia wstała z miejsca.

— Po co pan mówi takie przykre rzeczy? Proszę bardzo, dajmy już temu pokój. Mego postanowienia nie zmienię już, a kiedyś, tak pan, panie Henryku, jak i ty, Romanie, uznacie, że dobrze zrobiłam. A teraz pójdę już do siebie, bo późno bardzo, i doprawdy, bardzo jestem zmęczona.

Rzeczywiście, drobna twarzyczka jej była bardzo blada, a wielkie oczy zaczerwienione od łez i bezsenności.

— Idź się położyć Tereniu — mówił Roman serdecznie. — Pomówimy jeszcze jutro o tem wszystkiem. Pamiętaj, moja droga, nie rób nic pospiesznie i bez namysłu, bo tu nie chodzi o rok lub dwa, lecz o całe życie.

Terenia spojrzała na niego z jakimś rzewnym smutkiem.

— Ja się już dawno namyśliłam, mój Romanie — i podawszy na dobranoc rękę jemu i Mirskiemu, wyszła cicho z pokoju.

(Ciąg dalszy nastąpi).

wysokość wynagrodzenia, i z wyjątkiem kilku internistów wybitniejszych, o których z góry wiadomo, że im trzeba płacić za wizytę, wszyscy lekarze są na łasce pacyenta lub jego otoczenia, wykazuje autor artykułu, że z biegiem czasu powstały same przez się, bez pomocy prawodawcy, pewne zasady, według których publiczność postępuje z lekarzami. Oto niektóre z paragrafów tego kodeksu:

1) Za leczenie małoletnich trzeba płacić mniej niż za leczenie dorosłych, tak samo, jak się płaci za trzewiczki lub spodeńki dziecięce mniej, niż za takie same przedmioty dla dorosłych. Ponieważ zaś starsi lekarze na tę zasadę zgodzić się nie chcą, rodzice do swych chorych dzieci zapraszają lekarzy młodych, początkujących, których zwykle można zbyć byle jakiem wynagrodzeniem.

2) Lekarzowi płaci się nie za pracę, lecz za wizytę, wszystko więc jedno, czy badanie chorego trwa kilka minut, czy też pół godziny i więcej.

3) Podczas nagłego wypadku lub agonii chorego, krewni, przyjaciele, sąsiedzi zwołują lekarzy ze wszystkich stron miasta, a jeżeli który zmęczony pracą odmówi, wolno zaalarmować dom i napiętnować w gazetach postępowanie nieludzkie. Schodzi się tedy niekiedy 5 lub 6 lekarzy, lecz honoraryum otrzymuje tylko ten szczęśliwiec, który pierwszy stanął na placu i zapisał receptę; następnych zawiadamia służąca w przedpokoju lub na schodach, że już są niepotrzebni.

4) Do każdego chorego płatnego wolno dodawać jednego lub dwóch bezpłatnych w postaci małego dziecka, babki starej, lub służącej.

5) Honoraryum można płacić nie zaraz, lecz po kilku lub kilkunastu miesiącach gotówką, wekslami lub ratami. Upominanie się uważane jest za krok nieetyczny lekarza, któremu za karę szkodzi się na opinii, gdzie się tylko uda.

Zważyć przytem wypada, że często sprawa honoraryum znajduje się w ścisłej zależności od sposobu lokomocyi lekarza.

Inaczej — pisze p. Lewin — wynagradza się lekarza-piechura, inaczej tramwajowego, jednokonnego, parokonnego i powozowego. Ciekawe jest, jak wpłynąłby na stopę honoraryum rower lub samochód.

W ostatnich ustępach swego artykułu zwraca dr. Lewin uwagę na konszachty materyalne rodziny pacyenta podczas oględzin lekarskich:

Dziwna rzecz! — pisze on — zapraszają lekarza lub kilku na naradę, oczekują od nich dekretu życia lub śmierci chorego i w tak poważnej chwili sprawa wynagrodzenia nie daje im spokoju.

Wypukujesz granice serca, prosisz o chwilę zupełnej ciszy, ale gdzie tam! cisza ta przerywana zostaje od czasu do czasu pobrzękiem monet w kieszeni lub szeptem, a można być prawie pewnym, że szepczą o honoraryum. Obserwowałem pewnego razu matkę podczas badania jej chorego syna przez starszego kolegę, którego zaprosiłem na naradę; siedziała przy stole na drugim końcu pokoju, zapomniała widocznie zupełnie o chorobie syna i o celu przybycia doktorów, pochłonięta manewrowaniem pomiędzy dwiema kupkami monet, to odejmując od jednej i dodając do drugiej, to odwrotnie. W ostatniej chwili, kiedy trzeba było już nas „pożegnać", zdążyła jeszcze wyjąć jakąś monetę z jednego zawiniątka.

Tak, jestem przekonany, iż 90% publiczności sądzi, że przychodzimy do chorego tylko dla otrzymania honoraryum i że więcej nas nic nie obchodzi.

Forma wręczania honoraryum bywa bardzo urozmaicona. Niektórzy odsyłają je do domu, większość jednak wciska je w rękę, niby napiwek, lub kładzie gdzieś na stole i każe się domyślać lekarzowi, że to przeznaczone dla niego. Z początku młody lekarz wzdryga się na samą myśl o tych dziwnych formach wynagrodzenia, a wciśnięta w rękę moneta oblewa mu twarz rumieńcem. Lecz z czasem nerwy czuciowe tępieją, palce zaczynają macać metal owinięty w papierek, oczy badać ilość pieniędzy i często wizyta kończy się targiem. Wszystko to wytwarza stosunki niezmiernie przykre i czas byłby zaiste najwyższy, aby zająć się nareszcie sprawą reformy.

Nie proponuję — kończy swoje wywody autor artykułu — bynajmniej strejku lub pochodu na kieszeń chorego, życzyłbym sobie tylko, aby i lekarz miał głos przy ocenie jego pracy, aby chory z góry wiedział, ile ma płacić, dla uniknięcia ohydnych targów przy łóżku pacyenta.

Rada miasta Lwowa.

Lwów 19 września.

Na początku wczorajszego posiedzenia, prezydent p. Małachowski oddał hołd zasługom dra Tchorznickiego, prof. Balzera i dra Korna około sprawy Morskiego Oka, która dzięki ich pracy tak świetnem uwieńczona została zwycięstwem. Kreśląc zasługi tych trzech członków trybunału rozjemczego, nie może zarazem pominąć milczeniem zasług śp. prezydenta Mochnackiego, który był pierwszym referentem sprawy Morskiego Oka z ramienia Wydziału krajowego, i dra Czołowskiego, archiwaryusza miejskiego, który zebrał materyał dowodowy, świadczący o przynależności „perły Tatr" do Polski. Przemówienie p. prezydenta przyjęła Rada hucznymi oklaskami i uchwaliła upoważnić prezydyum do wysłania pisemnego podziękowania drowi Tchorznickiemu, prof. Balzerowi i drowi Kornowi.

Następnie udzieliła Rada urlopów: drowi Caro do 1 października, drowi Dulębie na jeden miesiąc, prof. Dzieślewskiemu na cztery tygodnie i p. Szwejkowskiemu na dwa miesiące. Z kolei odpowiedział p. prezydent na interpelacyę p. Czarneckiego, wniesioną na poprzedniem posiedzeniu Rady. Mianowicie w sprawie policyi w sali teatralnej odpowiedział p. prezydent, że musi ona tam być podczas przedstawień, gdyż jest to jednym z warunków koncesyi, udzielonej przez rząd na teatr. Co do podniesienia cen grupy miejsc na III balkonie, znajdujących się naprzeciw sceny, to uczyniono to dla zapobieżenia praktykowanemu [illegible].

Następnie odwołano do sali radnej na dzień 28 bm. komitetowi tymczasowemu wiecu narodowego na walne zgromadzenie. Potem zawiadomił p. prezydent Radę o zaproszeniu Akademickiego Koła Towarzystwa Szkoły Ludowej na uroczystość otwarcia roku szkolnego w szkole dla analfabetów, utrzymywanej przez to Koło. Uroczystość ta odbędzie się dnia 21 bm. w budynkach szkół św. Marcina i św. Antoniego. Przyjęto następnie do wiadomości małe uzupełnienie sprawozdania komisyi-matki w sprawie ukonstytuowania się kilku komisyi i przystąpiono do porządku dziennego. Uchwalono mianowicie bez dyskusyi przyjąć *en bloc* projekt regulaminu targowego, oraz sale w żeńskiej szkole im. Mickiewicza oddano do użytku szkół dla sług, postanowiono odnowić na r. 1903 kontrakt z p. Franciszkiem Reinischem o oświetlenie niektórych ulic miasta naftą. Na porządku dziennym znajdowała się też sprawa nowego regulaminu dla Rady miejskiej, lecz ze względu na to, że przedyskutowanie jej zajmie co najmniej jeden cały wieczór, przeto p. prezydent zwołał osobne *ad hoc* posiedzenie. Po załatwieniu kilku innych drobnych spraw zarządził prezydent p. Małachowski posiedzenie tajne.

Mały fejleton.

Podług szablonu.

Czekałem na tramwaj.

Przedemną przesuwał się tłum wielkomiejski, mniej lub więcej starannie ukrywający swe uczucia, mniej lub więcej poprawnie noszący maskę zadowolenia.

Sympatycznie odcinała się od tego tła sztucznej pozy gromadka pensyonarek z kwiatami w ręku lub u boku, z książkami w pozłocistych oprawach pod pachą i z wielkiemi zwojami papieru — z patentami.

Wracały z popisu.

Buziaki uśmiechnięte, oczy rozigrane. Jak się tam palić musi w tych główkach, ile tam marzeń rozniecić się i gasnąć, ile porywów porwie, wstąpi w chwili? Przechodziły właśnie tuż obok mnie. Wytężyłem słuch.

— Wiesz Maniu, tobie w niebieskiej będzie nie do twarzy.

— Mama mi obiecała różową bengalową.

— Ja sobie każę uszyć z płótna bułgarskiego.

— Mnie się więcej jedwab surowy podoba, to oryginalniejsze.

Zawiedziony, spojrzałem na ten szereg główek, jedna była uczesana w secesyę z rozdziałem po środku, druga w nad-secesyę z rozdziałem z boku, uczesanie trzeciej przypominało bardzo popularną pokę „Rach ciach-ciach", inne przedstawiały coś pośredniego między secesyą i „rach ciach-ciachem".

Cóż się właściwie spodziewałem? Czyż raczej nie byłbym się zdziwić, gdybym inną rozmowę usłyszał? Wszystko musi iść podług szablonu.

Mamy, uściskawszy swoje córeczki za przyniesienie świadectw z ukończenia nauk, zaopatrzą je zaraz w długie sukienki i powiozą wedle możności albo do jakich wód, albo chociaż do więcej uczęszczanych miejscowości leczniczych, żeby tylko jak najprędzej przed światem zaprezentować swoje pociechy i bez straty czasu rozpocząć obławę na kandydatów do małżeństwa, choćby pod postacią studentów ostatniego kursu, których usidlić nie trudno, a którzy przecież w przyszłości będą doktorami, adwokatami, inżynierami, architektami wreszcie.

To dziwne, powiedziałbym, gdyby nie było na świecie rzeczy i spraw jeszcze dziwniejszych, że matki tak myślące o wydaniu swych córek, tak mało myślą o przygotowaniu ich do stanu małżeńskiego.

Bo cóż się dzieje? Nie znajdzie się kandydat odpowiedni zaraz po skończeniu pensyi, to oddaje się panienkę, stosunkowo do panującej mody, do szkoły malarstwa, konserwatoryum, albo, jak obecnie, na kursa handlowe, po to tylko, aby w każdej chwili przerwać naukę, gdy się jaki zgrabnie zakręcony wąsik nadarzy. Szczytem praktyczności jest już posyłanie panienki ze sfery tak zwanej inteligencyi do nauki kroju.

Co do haftu, to ten należy w pewnych kołach do dobrego tonu.

Nie wiem o ile umiejętność malowania ptaszków na ekranie przyczynia się do szczęścia małżeńskiego, ale zdaje się, że chyba w bardzo skromnej dozie.

A gdzież jest staranie o rozwój fizyczny, o znajomość hygieny i pedagogii, — gdzie?

Przecież te dziewczęta mają być matkami i wychowawczyniami!

Istnieją zakłady gimnastyczne, ale ile panien z ich usług korzysta? W rozkładzie zajęć niektórych pensyj wypisana jest i gimnastyka, tylko, niestety, ma przydomek „salonowa", czyli, że cała ta gimnastyka polega na robieniu ładnego dygu, zgrabnem ustawianiu nóg w trzech pozycyach i traktowana jest jako początek nauki tańców.

Nigdzie gimnastyka nie jest uważana, jako przeciwdziałanie zgubnym skutkom noszenia od dzieciństwa niemal gorsetów, jako dźwignia, sprzyjająca rozwojowi fizycznemu — ale w najlepszym razie za niepotrzebne męczenie nieszczęśliwych dziewcząt, które lepiej przecież trzymać całymi dniami opancerzone w gorsecie.

Istnieją przy zakładach freblowskich dla dzieci odpowiednie kursa, przygotowujące nauczycielki-freblanki, oraz tak zwane bony. Czy uczęszczają na te kursa panienki i panie, nie szukające na tem polu zarobkowania? Bynajmniej, przecież daleko korzystniej studyować choćby Przybyszewskiego, niż zawracać sobie głowę jakiemiś tam pedagogicznemi kursami. Zresztą pannie z przyzwoitego domu nie wypada uczęszczać razem z przyszłemi bonami, bo coby to naprzykład był za skandal — u swojej przyjaciółki spotkać swą koleżankę z kursów, zajmującą stanowisko zwykłej bony. To byłoby okropne!

Już to wogóle umiejętnością przygotowania kobiet do życia praktycznego społeczeństwo nasze nie grzeszy.

Weźmy chociażby lwowskie zakłady wychowawcze dobroczynne: co umie przeciętna wychowanka takiego zakładu? Szyć i haftować, haftować i szyć i nic więcej. Częstokroć za to nie umie rozróżnić pieniędzy, nie zna się na zegarze i w rachunkach mocno jest chwiejna, a przecież umiejętność szycia i haftowania rzadko kiedy byt zabezpiecza, zresztą, jakim sposobem zabezpieczyć może, jeżeli naprzykład pannie magazyny za uszycie tuzina koszul ofiarowują z czystem sumieniem... guldena guldena, na którego conajmniej trzy, albo cztery dni pracować trzeba.

Słychać ogólne narzekania na brak dobrych panien służących; codziennie daje się uczuwać brak wykwalifikowanych pielęgniarek; stale, chronicznie za mało jest uzdolnionych bon — Polek; czyżby więc wychowanki zakładów naszych nie można było kształcić i w tych kierunkach?

Proletaryatu, rekrutującego się z szwaczek, mamy aż nadto; pocóż zakłady dobroczynne wychowawcze mają zwiększać nadprodukcyę, która i bez ich współudziału stale wzrasta? Córka stróża, dorożkarza, woźnego, za hańbę uważałaby sobie iść w ślady matki ex-kucharki, dla niej tylko magazyn jest odpowiedni.

A że przy sześciu, ośmiu guldenach miesięcznie dopomaga sobie lżejszym sposobem zarobkowania, to już przestało prawie ludzi razić.

Czyż zawsze tak będzie? Nie wiemy.

Tak było wczoraj, tak jest dzisiaj.

Płynie ludzki tłum, płynie. Depcze, spycha się, tratuje po to, aby za chwilę znalazł się sam w liczbie spychanych i tratowanych.

Płynie ludzki tłum, płynie, a w łonie swojem jedną tylko myśl piastuje:

Gwałt niech się gwałtem odciska.

Za mało, stanowczo za mało jest tych, którzyby przypominali, że w szczęściu wszystkiego są wszystkich cele....

Z izby sądowej.

Lwów 19 września.

(*Skutki romansu z żydówką*).

Rozprawa przeciwko trzem Sellerom z Kleban obfituje w różne sceny humorystyczne z powodu śmiesznego zachowania się oskarżonych. Mówią oni wszyscy równocześnie, żywo gestykulując, przeczą wszystkim szczegółom podawanym przez świadków, i zarzucają im w oczy krzywoprzysięstwo. W czasie zeznań świadka Mastykarza, włościanina, mówiło równocześnie pięć osób, świadek, trzej oskarżeni, i jeden z poprzednio przesłuchanych świadków. Przewodniczący kilka razy musiał oskarżonych przywoływać do porządku. Na jedno takie wezwanie zawołał Tewel Seller: „Kiedy proszę „najświetniejszego" trybunału, ja nie mogę wytrzymać, jak ten człowiek „złomił" przysięgę". (Wesołość).

Z zeznań świadków podnieść należy jako ważniejsze zeznanie młodego chłopaka wiejskiego, który wieczór dnia krytycznego, już po bójce, był w karczmie Sellerów i widział, jak Sellerowie po cichu szeptali ze sobą w tajemniczy sposób. Wyszedłszy zaś z karczmy, słyszał jęki wydobywające się ze stodoły. Podobnie zeznali także świadkowie Karpiak i Małuta, parobcy.

Świadek G i l e w i c z był następnego dnia u Sellerów i zauważył nieznaczne ślady krwi na świeżo zmytym i oblanym wokoło wodą „bankbetlu". Zauważył nadto, że kawałek tego „bankbetla" jest świeżo odłamany.

Zeznawała następnie żona głównego obwinionego Leibowa Sellerowa, twierdząc, że o stosunku Lai z Kolbuchem nic nie wie. Bójki w karczmie nie było, a „bankbetel" połamał się sam ze starości.

Bohaterka dramatu, L a j a S e l l e r ó w n a, przeczy również, jakoby miała jakiego kochanka i jakoby Kolbuch między nimi pośredniczył.

P r z e w o d n i c z ą c y: Ale mówią świadkowie, że pani z samym Kolbuchem miała „kochanie".

L a j a (z oburzeniem): Co? Z takim — przepraszam najwyższego sądu — baciarzem?

Zapytana o bójkę w karczmie twierdzi, że żadnej bójki nie było, pamięta, że w dniu tym wszyscy poszli wcześnie spać.

Natomiast świadek L a t a w i e c widział parę razy Kolbucha w towarzystwie Lai, czemu ona energicznie przeczy.

Świadek G r e ń, młody chłopak, opowiada, że słyszał, jak Sellerowa skarżyła się przed jego matką na stosunek Lai z Kolbuchem. Z płaczem zrywa się z ławki Sellerowa, biegnie do świadka z podniesionemi rękoma i krzyczy, że chłopiec kłamie. Z oburzenia robi jej się słabo, wychodzi więc z sali, za nią z płaczem wybiegają córka i synowa. Powiększają zamęt oskarżeni, którzy także chcą biedz na ratunek. Dopiero po chwili uspokoiło się, Sellerowa wróciła do sali i można było przesłuchać ostatniego świadka W e r b o w s k i e g o. Świadek ten często widywał Kolbucha u Sellerów i słyszał, że go łączą bliższe stosunki z Lają. Na drugi dzień po śmierci Kolbucha zauważył w karczmie ślady krwi na ścianie, zmywane jednak świeżo. Zdawało mu się też, że „żydy" byli czegoś przestraszeni.

Dziś przesłuchano znowu kilku świadków. Zeznaniom jednego z nich Hryńka Filipowicza zaprzeczają oskarżeni bardzo żywo, a pomaga im w tem Leibowa Sellerowa, która woła: „Ja tu siedzę na ławce, ale jak słucham, to chcę polecić do góry!" (Wesołość).

Komiczne wrażenie wywiera też uspokajanie się wzajemne całej rodziny Sellerów. Gdy który ze świadków żydów niepotrzebnie się odezwie, zrywają się oskarżeni z ławki i ciągnąc go za suknie, wołają: „sza! sztyl! szojn!" Upomnienia przewodniczącego mało pomagają, a gdy na jedno takie upomnienie Sellerowa odpowiedziała, że „nie może wytrzymać", przewodniczący kazał ją wyprowadzić z sali.

Główny świadek Karp Kleban zeznawał według aktu oskarżenia. On jedyny był świadkiem zajścia. W obronie Kolbucha nie mógł wziąć energicznego udziału, bo na parę dni przedtem wygrzmocił świadka wujko tak, że świadek był trochę osłabiony. Gdy żydzi wyrzucili go z karczmy, świadek zaglądał do środka przez okno, ale sądził, że żydzi tylko trochę Kolbucha poszturkują i dlatego też nie wołał ludzi na ratunek. Gdy znaleziono trupa, Kleban bał się zrazu donieść żandarmeryi o tem, co widział, gdyż bał się zemsty żydów.

O godz. 1-ej przerwano rozprawę do 4-ej popołudniu. Wyrok zapadnie może jeszcze dziś wieczorem.

KRONIKA.

Lwów 19 września.

P. namiestnik hr. Piniński przybył wczoraj do Wiednia w powrocie z urlopu; w sobotę wieczorem powróci już do Lwowa.

Uczta dla sądu rozjemczego w Wiedniu Prezydent ministrów dr. Koerber podejmował onegdaj w południe u Sachera członków sądu rozjemczego w sprawie Morskiego Oka. Oprócz nich wzięli udział w śniadaniu minister spraw zagranicznych hr. Gołuchowski, minister węgierski Szechenyi i ministrowie Hartel i Piętak.

Wybór posła na Sejm z miast Jasło-Gorlice odbył się wczoraj. W Jaśle głosowało 480 wyborców. Dr. Józef Franciszek Baranowski otrzymał 340 głosów, Adam hr. Skrzyński 138 głosów, a Zygmunt Zieliński 2 głosy. W Gorlicach głosowało 556 wyborców. Adam hr. Skrzyński otrzymał 514 głosów, dr. Baranowski 42 głosy. Ogółem więc głosowało 1086 wyborców; absolutna większość wynosiła 519 głosów. Otrzymali: Adam hr. Skrzyński 652 głosy, dr. J. Fr. Baranowski 382 głosy, Zygmunt Zieliński 2 głosy. P o s ł e m d o S e j m u w y b r a n y p r z e t o k o n s e r w a t y s t a hr. A d a m S k r z y ń s k i.

Wiadomości urzędowe. Minister sprawiedliwości przeniósł radzcę sądu krajowego i naczelnika sądu powiatowego Wincentego Cichockiego z Husiatyna do Bolechowa; zamianował radzcami sądu krajowego i naczelnikami sądów powiatowych sędziów: Ignacego Krasowskiego z Lutowisk do Starego Sambora, Pawła Bilińskiego w Mikołajowie, Józefa Kuntzego w Trembowli, Juliana Kulczyckiego w Delatynie, dra Edwarda Szulisławskiego w Łopatynie dla Żółkwi, Gustawa Lyduszyńskiego w Nadwórnie i Eugeniusza Raciborskiego w Dubiecku, — oraz sekretarzy sądowych Henryka Kapiszewskiego w Radziechowie dla Kulikowa, Jana Gabrusiewicza w Buczaczu dla Boryni, Władysława Freunda w Brzeżanach dla Medenicy, Jana Chlamtacza ze Lwowa dla Husiatyna, Włodzimierza Kulczyckiego ze Śniatyna dla Lutowisk. — Dalej przeniósł minister sędziego Kazimierza Rodakowskiego z Mikuliniec do Horodenki i zamianował sędziami powiatowymi sekretarzy sądu: Tadeusza Małaczyńskiego z Kopyczyniec dla Krakowa i dra Stanisława Rubczyńskiego z Podwołoczysk do Zborowa, oraz adjunkta sądowego Kazimierza Schennetta z Glinian do Łopatyna. — Dalej przeniósł minister sekretarzy: Jana Kmiecika ze Stryja do Stanisławowa, Stanisława Hodolę z Turki do Mikuliniec, Józefa Gudzio z Żurawna do Sanoka, Karola Józefa Neuhoffa z Grzymałowa do Załoziec, dra Konstantego Rybickiego z Załoziec do Stryja, Maryana Kowińskiego z Mikuliniec do Bolechowa, dra Włodzimierza Kulczyckiego z Bolechowa do Lwowa i Józefa Bilińskiego z Jaworowa do Lwowa. — Dalej zamianował minister sekretarzami sądowymi sędziego Ignacego Hontha ze Starego Sambora do Przemyśla, oraz adjunktów dra Jana Wierzbowskiego z Sambora dla Zaleszczyk, Stanisława Orskiego z Tyśmienicy dla Buczacza, Stanisława Kirschnera z Trembowli dla Żurawna, Józefa Sterczyńskiego dla Kopyczyniec, Włodzimierza Nowosiadłowskiego z Jarosławia dla Grzymałowa, Justyniana Dzerowicza z Czortkowa dla Śniatyna, Witołda Schnella z Brodów do Brzeżan, dra Bolesława Gawińskiego z Baligrodu do Podwołoczysk, Aleksandra Rozłuckiego z Oleska do Radziechowa, dra Franciszka Mischalka z Kołomyi do Jaworowa i Michała Suczyńskiego z Kut do Turki.

Ze spraw miejskich. Na ostatniem posiedzeniu magistratu zajmowano się między innemi sprawą dziewięciu strażników, oddalonych ze służby z powodu reorganizacyi miejskiego biura egzekucyjnego, która to sprawa była przedmiotem licznych w Radzie miejskiej interpelacyi. Magistrat oświadczył się za udzieleniem tym strażnikom stałego zaopatrzenia w kwocie od 240 — 400 koron rocznie.

Na wczorajszem tajnem posiedzeniu Rady m. Lwowa zgodzono się na treść pozwu, który gmina wniesie przeciw gal. Kasie oszczędności o dokończenie budowy gmachu Muzeum przemysłowego. Upoważniono syndyka miejskiego do wytoczenia dotyczącego sporu, a pozew wpłynie w najbliższych dniach do lwowskiego sądu krajowego. Następnie nadano posady nauczycielek na kursach robót rę-

1)

Feljeton literacki.

Stanisław Przybyszewski: *Homo Sapiens* (Lwów. Nakładem Księgarni Polskiej).

— Dwojaka jest droga — uczy Przybyszewski w „Na drogach duszy" — by sztuką życie ogarnąć. Jedna szeroka, wydeptana, bezpieczna i wygodna, druga kręta, prowadząca przez przepaści, pełna śmiertelnych niebezpieczeństw. Wygodna droga — to droga mózgu, droga ubogich pięciu zmysłów, które obejmują życie tylko w jego przypadkowościach, w jego smutnej i głupiej codzienności. Stroma, przepaścista droga, to droga duszy, dla której życie jest ciężkim snem a bolesnem przeczuciem jakiegoś innego życia i zaświata, przeczuciem innych związków i innych głębi niż te, do których biedny, biedny nasz mózg dotrzeć może. Mózg, to dzień powszedni, dzień pracy i znoju, to matematyka, to logika; dusza to rzadki dzień świąteczny, coś, czego ani regułą, ani logiką objąć nie można, to chwała i wniebowstąpienie rodu ludzkiego. Dla mózgu dwa a dwa jest cztery, dla duszy może być milion, ponieważ nie zna ona interwałów ani w czasie, ani w przestrzeni. Mózg, to materyalizm w zakresie wiedzy, to socyalizm i niezliczone systemy ekonomiczne, które rodzą się, aby uszczęśliwić... cha, cha, cha!... uszczęśliwić człowieka przez kolektywizm pracy, to sztuka bezmyślna, sztuka jednego łokcia ręki i dobrych oczu, sztuka, przed którą tłum się korzy i t. d.

Więc Przybyszewski potępia wszystko, co z mózgu, co z rozumu się rodzi: matematykę, logikę, wiedzę ścisłą, nauki społeczne, sztukę realistyczną. Nienawiść do praktycznego, trzeźwego rozumu, do rozsądku wije się czerwoną nicią po przez jego pisma.

— Całem *facit* wszystkich naukowych i filozoficznych spekulacyi logicznego mózgu — woła on w przedmowie do *De profundis* — jest *ignoramus i ignorabimus*, czyli zupełne bankructwo wszystkich jego rozpaczliwych usiłowań. Artystyczne *facit* — *risum teneatis amici* — jest naturalizm, bezduszna, brutalna sztuka dla ludu, sztuka mieszczańska *par excellence*, *biblia pauperum* dla słabego, normalnego, leniwego, tchórzliwego, plebejskiego mózgu, który wszystko objaśnia, chce wszystko rozumieć, drwi z wszelkiej głębi i tajemnicy, szaleństwem je nazywając, dla tego rozumu, który nienawidzi duszy, bo jej niezrozumie".

Apostołów niezależnego rozumu: Spencera, Straussa, Büchnera, Vogta i innych nazywa Przybyszewski ograniczonemi, ciasnemi miernotami; ze zdobyczy przewrotów społecznych, z konstytucyi, z parlamentaryzmu, ze swobody prasy, ze sztuki realistycznej drwi bez żadnych zastrzeżeń. Odrzuca on całego człowieka cielesnego, skrępowanego zmysłami, przytroczonego do ziemi potrzebami życia, i każe artyście wnikać tylko w duszę, w nagą duszę, oderwaną od tego „padołu łez", od jego nędzy, bólu, trudu, pożądań i rozkoszy.

Ponieważ Przybyszewski jest nietylko teoretykiem, lecz równocześnie twórcą, przeto można bardzo łatwo, bez żadnego wysiłku sprawdzić, jak wygląda jego „naga dusza", wcielona artystycznie.

Pomijam „Dzieci szatana" (*Satans Kinder*), zbyt to bowiem jeszcze młode, zbyt nieudolne dzieło, aby mogło ilustrować doktryny dojrzalszego pisarza. I *De Profundis*, obraz halucynacyi, wizyi, chorobliwych pożądań lubieżnika, dręczonego przez *succubat*, nie rzuca dostatecznego światła na nową szkołę. Najwyraźniej, najjaśniej wypowiedział się Przybyszewski dotąd w „*Homo sapiens*".

Kim jest ten *homo sapiens*, człowiek mądry, wcielony typ ludzi przyszłości? Nazywa się on Eryk Falk, a rzemiosłem jego: literatura, agitacya polityczna, słowem, działalność publiczna. Jego przyjaciele mają go za głowę genialną, w co i on sam wierzy.

Człowiek przejawia się nie w tem, co mówi, lecz w tem, co robi. Lepiej, plastyczniej od całej góry błyskotliwych frazesów maluje charakter czyn najdrobniejszy.

Cóż więc robi Falk, geniusz, arcytyp Przybyszewskiego? Może idzie na pustynię, zdala od gwaru pospolitego życia, i zatapia się w duszy oderwanej od szarzyzny i brudu życia, albo może poświęca się dla swoich idei, torując nowe drogi dla przyszłych pokoleń?

Z Paryża przybywa do Berlina młody malarz, Mikita, serdeczny przyjaciel Falka, i przywozi z sobą narzeczoną, piękną Izę. Zaledwie spojrzeli na siebie, Falk i Iza, kiedy ich płomień miłości ogarnął. Wytwarza się stąd oczywiście nieprzyjemna kolizya, bo jakże zbałamucić, zabrać przyjacielowi, którego się kocha, któremu się dobrze życzy, narzeczoną?

Przez cały tom pierwszy „*Homo sapiens*" szamoce się Falk z sobą: Zabrać Mikicie Izę, czy nie zabrać? Wprawdzie uwielbia on „owe śmiałe, potężne natury, które rozrywają, burzą, druzgocą wszystko, by dojść tam, dokąd ich instynkty popychają, bo tylko wtedy są ludźmi, bo istotną wielką świetnością człowieka są potężne instynkty", wprawdzie podziwia on owych arystokratów ludzkości, którzy posiadają dosyć odwagi i godności, by służyć swoim instynktom, lecz na dnie jego duszy spoczywa jeszcze „kawałek odziedziczonej przeszłości, kawałek głupiego sumienia z atawistycznemi resztkami pojęć o własności, o prawach dawniejszych".

Przez cały tom rezonuje Falk, przekonywa się, namyśla, walczy z „kawałkiem odziedziczonej przeszłości, z głupią uczciwością", aż zwycięża w końcu te śmieszne resztki nawyknień atawistycznych. Pokonawszy w sobie „dziecinne sumienie", stojące niepotrzebnie na drodze „natur silnych", zabiera przyjacielowi narzeczoną i ucieka z nią do Paryża. A biedny, zrozpaczony malarzyna pali sobie w łeb.

Eryk Falk jest tak dumny ze zwycięstwa, jakie odniósł nad swoją „słabością", iż, jadąc do Paryża, rozgląda się okiem tryumfatora po okolicy. Lasy i pola, wsie i miasta przesuwają się przed jego wzrokiem, a on mówi do siebie: „To wszystko będzie twoje, jeżeli pójdziesz za głosem tej nowej woli, woli instynktów."

Po takiem zakończeniu pierwszego tomu wolno się było spodziewać, że Falk pójdzie dalej po drodze wyzwolonych z pod kontroli sumienia instynktów, że, zdobywszy sobie miłość, sięgnie po resztę szczęścia tej ziemi, po złoto, władzę, sławę. Lecz treścią drugiego i trzeciego tomu „*Homo sapiens*" jest znów tylko miłość płciowa, oszalała z pożądliwości nienasyconej.

Zestawiwszy „Na drogach duszy" Przybyszewskiego z jego „*Homo sapiens*", doznaje czytelnik rozczarowania, bo spodziewał się, miał prawo spodziewać się zupełnie czego innego. Dusza zrzuci z siebie ciało, jego nędzę i cierpienia, jego nikczemność i głupotę i wzbije się wysoko ponad przemijające rozkosze tej ziemi, by skąpać się w przeźroczych błękitach swoich tęsnot — mniemał czytelnik naiwny. Tymczasem, zamiast wzlotów mistycznych, idealnych zachwytów, przeczuć innych przeznaczeń, słyszymy znaną i autorom realistycznym kazuistykę pożądliwych instynktów i widzimy to samo zawsze pospolite zwierzę, dążące do zaspokojenia swoich pragnień zmysłowych bez względu na drogi i środki.

„Nagie dusze" Przybyszewskiego podpalają domy, kradną, mordują słabszych lub głupszych, („Dzieci szatana"), bezczeszczą siostry, (*De Profundis*), zdradzają przyjaciół, gorszą, uwodzą dziewice (*Homo sapiens*) i są ciągle pijane. Alkohol odgrywa w powieściach Przybyszewskiego rolę wprost śmieszną. Bez wódki i koniaku nie dzieje się tam nic. Brat, kochający siostrę (*De Profundis*), Eryk Falk (*Homo sapiens*), utopiści społeczni (*Dzieci szatana*) nie rozstają się prawie nigdy z butelką. „Zakrapiają robaka" ciągle, czy się smucą, czy weselą, kochają albo nienawidzą, medytują albo dysputują. Bardzo też często odzywają się językiem nałogowych pijaków, dręczonych przez okrutne wizye.

Mimo jednak potworności swojej, nie wywołują typy Przybyszewskiego takiego wrażenia, jakie autor prawdopodobnie zamierzał. Bo nie są to potwory, samoluby w dużym stylu, nie są to owe pierwotne, dzikie „bestye", druzgocące spokojną pogardą słabszych, burzące bez rezonowania wszystko, co stoi na drodze ich pożądań, ich brutalnych instynktów, lecz chorzy neurastenicy, nierówni, niekonsekwentni, słabi, mali. Albo „wściekają się", albo mdleją, po każdem silniejszem wrażeniu, „bledną jak trupy". Prawie bez przejścia wpadają z jednej ostateczności w drugą, jak histeryczne kobiety, chwiejni, tchórzliwi. W ich gwałtownych wybuchach niema grozy. Jest wszędzie tylko bardzo cięta, bardzo dobra kazuistyka polemiczna i subtelność przewrotnej logiki chorego indiwidualizmu.

Typy Przybyszewskiego gadają, rezonują za wiele, zanadto po literacku. A rezonują zwykle z błahych powodów, przykładając do rzeczy małych za dużą miarę. Eryk Falk, zamierzając uwieść tę lub ową dziewczynę, przywołuje na pomoc całą kazuistykę filozoficzną, począwszy od Schopenhauera, a skończywszy na Nietzschem; mówi tyle i tak głośno, jak gdyby istnienie świata od tego zależało, czy zbałamuci Izę, Maritę lub Janinę.

(Dokończenie nastąpi).

cznych pannom Angerówne, Zawistowskiej i Francówne, a posadę katechety w szkole św. Anny X. Krokowskiemu.

Słynny Jan Strauss wraz ze swą orkiestrą wiedeńską, składającą się z czterdziestu osób, zawita wkrótce do naszego miasta i wystąpi dnia 15-go października z koncertem (raz tylko) urządzonym staraniem agencyi Tow. muzycznego w sali Domu narodowego. Twaźniejszy kapelmistrz nadwornej muzyki balowej p. Jan Strauss jest synem Edwarda a siostrzeńcem nieśmiertelnego „Króla walców", którego kompozycye — jako nieprześcignione w swoim rodzaju — zyskały sobie, jak wiadomo, popularność w całym świecie muzykalnym. Orkiestra, którą niebawem usłyszymy we Lwowie pod osobistem kierownictwem obecnego przedstawiciela dynastyi Straussowskiej, ukończyła właśnie dłuższą *tournée* po stolicach europejskich, wywołując wszędzie prawdziwy entuzyazm. W skład programu wchodzą nietylko utwory muzyki tanecznej, układu Jana i Edwarda Straussa, lecz ponadto dzieła wybitniejszych kompozytorów naszych czasów. Nie ulega więc wątpliwości, że koncert, zapowiedziany na 15-go października, zajmie w wysokim stopniu muzykalne sfery naszego miasta.

Z Rady m. Krakowa. Na wczorajszem posiedzeniu rady miasta prezydent p. Friedlein wyraził uznanie członkom trybunału rozjemczego w sprawie sporu o Morskie Oko, drowi Tchórznickiemu, radcy dworu [illegible] i prof. Balzerowi za ich gorliwą pracę i wspomniał także o zasługach w tej sprawie posła dra Włodzimierza Kozłowskiego, prof. dra Ponikły, prezesa stałej komisyi dla sprawy Morskiego Oka, oraz dra Czołowskiego. Rada uchwaliła wyrazić pisemne podziękowanie tym zasłużonym mężom.

W dalszym ciągu posiedzenia radny dr. Guńkiewicz przedłożył nagły wniosek, domagający się, aby komisya teatralna rady miejskiej zbadała artystyczny poziom teatru krakowskiego w ubiegłym i obecnym sezonie i zastanowiła się, czyby nie należało wezwać dyrekcyi do zorganizowania innej trupy, a nawet czyby nie należało rozwiązać kontraktu z dyrekcyą, dalej, aby komisya obmyśliła środki ściągnięcia zaległych na rzecz gminy należytości teatralnych, wynoszących 31,000 K. — Prezydent wyjaśnił, że narady co do pokrycia tych należytości są w toku, a ukończone będą w poniedziałek. Wniosek radnego Guńkiewicza nie uzyskał poparcia i Rada nie uznała jego nagłości, zatem pójdzie on drogą normalną do komisyi teatralnej.

Milionowa defraudacya w Laenderbanku w Wiedniu, została wczoraj wykrytą. Dopuścił się jej urzędnik głównej kasy Henryk Jellinek. Wyszła ona na jaw w następujący sposób: Wczoraj dyrektor Banku odkrył przypadkowo w kasie brak 89.000 koron. Jellinek, zapytany o wyjaśnienie, nie zmieszał się wcale, lecz zupełnie spokojny, jakby w kasie panował największy porządek, znalazł wymówkę, że zaszła widocznie pomyłka w posyłce pieniężnej z Banku austro-węgierskiego, i że on pójdzie natychmiast do Banku, aby pomyłkę tę wyjaśnić. W istocie też zaraz wyszedł, rzekomo do Banku austro-węgierskiego. Gdy dłuższy czas nie wracał, wzbudziło się podejrzenie, że w kasie musi być nieporządek. Posłano po Jellinka do Banku austro-węgierskiego, atoli tam go wcale nie było. Również nie zastano go w domu. W nieobecności więc jego przeprowadzono rewizyę kasy i znaleziono w niej brak 1,259,000 koron. Jellinek grał na giełdzie i widocznie przegrał tam sprzeniewierzoną sumę. Dotychczas go nie odszukano.

Laenderbank podał wczoraj w tej sprawie następujący komunikat: Urzędnik głównej kasy Henryk Jellinek umknął przed rewizyą kasy i oddalił się wśród podejrzanych okoliczności. Przeprowadzona w nieobecności jego rewizya kasy wykazała wielkie nieprawidłowości w czekach. Skonstatowano brak 1,259.000 K.

Policya lwowska otrzymała dziś list gończy za Jellinkiem od dyrekcyi policyi w Wiedniu.

Jesienne wyścigi cyklistów w Mielcu. Staraniem Towarzystwa gimnastycznego „Sokół" w Mielcu urządza dnia 5 października 1902 r. wyścigi galicyjskich cyklistów na drodze krajowej Mielec-Tarnobrzeg. Ze względu na niezwyczaj dobry stan drogi w tych stronach spodziewanym jest liczny zjazd cyklistów. Bliższe szczegóły biegu zostaną podane do wiadomości na tydzień przed wyścigami.

Statystyka politechniki lwowskiej. W półroczu zimowem ubiegłego roku szkoła miała 885 słuchaczy, z których 484 było na wydziale inżynieryi wraz z kursem geometrycznym, 44 było na wydziale budownictwa lądowego, 296 na wydziale budowy maszyn, a 51 na wydziale chemii technicznej. Z całej liczby uczniów 706 pochodziło z Galicyi, 4 ze Śląska austr., 8 z Poznańskiego, 143 z Królestwa Polskiego i zaboru rosyjskiego. Polaków było słuchaczy 809, Rusinów 65, Czechów 5, Anglik 1, Niemiec 1, Bułgarów 2, Rosyan 2. W półroczu letniem ogólna liczba słuchaczy zmniejszyła się o 55. Grono nauczycielskie szkoły liczy 21 profesorów zwyczajnych, 2 nadzwyczajnych, 16 docentów i 4 asystentów. Przy katedrach pracuje 22 adjunktów i asystentów.

Z Jabłonowa w pow. husiatyńskim nam piszą: W nocy z dnia 16 na 17 bm. około godz. 10 wśród ulewnego deszczu uderzył piorun w stodołę [illegible]tyńskiego i [illegible]czowi, a po części tylko sikawce gminnej pożar zlokalizowano i skończyło się tylko na spaleniu stodoły wraz z całą krescencyą biednego gospodarza. Przy pożarze tym można się było przekonać, jak dotkliwie daje się odczuwać brak choćby jako tako zorganizowanej gminnej straży pożarnej, której, smutno to przyznać, z małymi bardzo wyjątkami, gminy nasze nie posiadają. Możeby obecnie władze zajęły się gorliwie tą sprawą i postarały się o zorganizowanie gminnych straży pożarnych, czem zyskałyby sobie wdzięczność biednego ludu, którego mienie tak często narażone jest na niebezpieczeństwo. — Dnia 29 z. m. w tej samej miejscowości również uderzył piorun w kościół [illegible].

Z Czortkowskiego nam piszą: Mozes Grünfeld, dzierżawca folwarku Morawszczyzna ad Zwiniacz, zbudował na rzece prowizoryczny most i pobiera od pieszych po 20 hal., a od furmanek po 40 hal., a więc kwotę, jakiej się nie pobiera za przejazd przez mosty krajowe. Starostwo w Czortkowie powinno wejrzeć w tę sprawę i usunięciem bezprawia ochronić biednych chłopów od wyzysku.

Lokalne kursa pożarnicze w Żabnie. Ponieważ wiele gmin nie posiada jeszcze zupełnie policyi ogniowej, a istniejące w niektórych gminach straże ogniowe [illegible], przeto Wydział krajowy [illegible] gminy miejskie [illegible] dla wyćwiczenia swoich korpusów strażackich. Pierwszy taki kurs odbył się w Żabnie w dniach od 11 do 13 b. m. [illegible] straży pożarnych, która wykazała zaniedbanie i lekceważenie przepisów ze strony zwierzchności gminnej.

Wiktor Brodzki. Pan Adam Darowski opowiada: Było to przed półrokiem... W jednej z małych, charakterystycznych, a tak malowniczych, winiarni rzymskich, zobaczyłem przy stoliku siedzącego starca o bardzo sympatycznym wyrazie twarzy i o nader miłem obejściu. Od czasu do czasu witano go z głębokiem uszanowaniem; starzec wtedy podnosił łagodne swe spojrzenie do góry i uprzejmie odpowiadał na pozdrowienie.

W starcu poznałem wkrótce naszego znakomitego artystę-rzeźbiarza, Wiktora Brodzkiego, który od lat 44 mieszka w Rzymie; zrósł się on z tem miastem pogańskiem i świętem zarazem, ukochał je, przylgnął do jego odwiecznych murów i postanowił nigdy z niemi się nie rozłączać.

Jest to mistrz dłuta prawdziwy, zasłużony, o imieniu sławnem i powszechnie szanowanem. Życie całe przeszło mu na pracy artystycznej. Urodzony w 1825 r. w Oleksinku na Wołyniu, gimnazyum skończył w Żytomierzu i początkowo poświęcił się zawodowi prawniczemu. Nie darmo jednak nosił w sobie iskrę Bożą, która w jego piersiach wznieciła ogień miłości bezgranicznej dla sztuki.

Niebawem widzimy go w Akademii sztuk pięknych w Petersburgu. W r. 1855 za rzeźbę p. t. „Adonis spoczywający" otrzymuje stypendyum i wyjeżdża do Włoch.

I tu się stało to, co się często artystom przytrafia, kiedy dotkną nogą ziemi włoskiej, a zwłaszcza gdy wzrok zatopią w kopułę bazyliki św. Piotra lub w ruiny Colosseum i Palatynu.

Kto raz stanął tam i zawołał: Roma! już gród ten pokochał, jakby istotnie zaklęty był w nim wyraz miłości: Roma-Amor.

Tak przed laty do Rzymu przyjechał malarz, nazwiskiem Stankiewicz; przyjechał na krótko, kufra nawet nie rozpakował — i już nie ruszył się z Rzymu nigdzie, przeżył tam pół wieku i kości swe złożył na rzymskiem Campo Santo.

Tak się stało i z Brodzkim. W 1858 r. zawitał do Rzymu — i od tej pory nie wydalał się z niego ani na chwilę.

Z pracowni artysty przy Corso wychodziły coraz nowsze dzieła i zaludniały wystawy europejskie, które się ubiegać poczęły o rzeźby Brodzkiego. Jego „Amor śpiący w muszli" w kilku egzemplarzach (na zamówienie przez twórcę rzeźbionych) znajduje się w różnych muzeach. Potem szły inne wspaniałe utwory: „Chrystus błogosławiący świat", „N. Marya Panna, Orędowniczka świata", „Ostatnie dni Pompei", „Sarkofag grobowy królowej Jadwigi", „Mickiewicz" (popiersie na Kapitolu), „Kopernik" (popiersie w muzeum w Rapperswylu) — oto główne rzeźby, których mnóstwo wyszło z pod dzielnego dłuta artysty.

W ostatnich kilku latach Wiktor Brodzki podupadł nieco na siłach, ale się jeszcze trzymał krzepko i nie poddawał się osłabieniu. Przestał rzeźbić, ale zaczął marzyć o sposobie sterowania balonami. To go najwięcej zajmowało, a gdy ktoś żartował sobie z nowego pomysłu, Brodzki uśmiechał się dobrotliwie, jakby chciał powiedzieć: „Uwierzysz, Tomku..."

Świeżo nadeszła z Rzymu smutna wiadomość, iż sędziwego artystę tknął atak paralityczny. Może umiejętna pomoc lekarzy tamtejszych i troskliwa opieka jedynego krewnego, młodego artysty, p. Madejskiego, sprowadzą ulgę w cierpieniach i uratują jeszcze życie nestora rzeźbiarzy polskich.

Ojciec oskarżycielem syna. Przed kilku dniami, jak o tem już doniósł telegram, Bolonia została wzburzona niezwykłą zbrodnią. W biały dzień, we własnym pałacu, wśród licznej służby, zamordowany został hr. Bonmartini, zięć słynnego lekarza i profesora tamtejszego uniwersytetu, dra Augusta Murri. Hrabia, liczący lat trzydzieści, znany hulaka, powrócił był właśnie z Wenecyi, gdzie po paru latach separacyi, pogodził się był z żoną. Szwajcar zdziwiony był, że przez parę dni nie widzi wychodzącego hrabiego, ale ponieważ pałac miał wyjście na drugą ulicę, nie wzbudziło to alarmu; dopiero trzeciego dnia służba poczuła zapach trupi, wychodzący z zamkniętej ubieralni hrabiego. Wyważono drzwi i ujrzano hrabiego ze sztyletem w sercu, leżącego w kałuży krwi zastygłej, miał dłonie przecięte od ostrego narzędzia. Widocznie, padając, chciał wyrwać sztylet i poranił się. Wedle orzeczenia lekarzy, cios został zadany bardzo zręcznie, śmierć nastąpiła niebawem. Nikt ze służby nie słyszał okrzyku, ani szamotania. Na palcach hrabiego pozostały drogie pierścienie, wyrwano mu łańcuszek, ale rzucono go na ziemię, zniknął tylko pugilares z 50.000 lirów. Hrabia miał na sobie kostyum podróżny i książeczkę z rozkładem pociągów. Wybierał się podobno do żony i dzieci. Nazajutrz po wykryciu zbrodni, profesor Murri przesłał list do policyi, w którym powiada, że sprawcą jest jego własny syn, który mu się przyznał do winy popełnionej w obronie czci swej siostry. Przebił hrabiego sztyletem po gwałtownej sprzeczce, w której sam został raniony w ramię. Widziano go tegoż dnia w Bolonii, nikt jednak nie zauważył, aby był rannym. Młody Murri zniknął bez śladu. Był kandydatem na posła do parlamentu ze stronnictwa socyalistów. Według ostatnich wieści, mordercą nie jest Murri. Zeznaniem swojem chciał osłonić przyjaciela, który zabił hrabiego z zazdrości, aby przeszkodzić jego połączeniu się z żoną.

Stan powietrza. T. o g. 6 rano + 6. w poł. + 11 R. Bar. 771. Podnosi się. Pochmurno.

W sklepie.

— Ma pan szwarc do butów?

— I jaki jeszcze! Paluszki lizać.

Logiczny wywód.

Nauczyciel szkółki wiejskiej tłómaczy uczniom przypowieść o synu marnotrawnym, opowiadając o tłustym cielcu, zabitym na jego przyjęcie, a chcąc przekonać się, czy zrozumieli, zapytuje jednego:

— Powiedz mi, kto się zmartwił powrotem marnotrawnego syna?

— Tłusty cielec — brzmi logiczna odpowiedź.

Repertuar teatru miejskiego we Lwowie. Dziś w piątek po raz 18ty „Piękna z Nowego Jorku" operetka w 3 aktach (5 odsł.) H. Mortona, muzyka G. Kerkera. — W sobotę po raz 10ty „Dramat Kaliny" 3 akty prozą Z. Kaweckiego. — W niedzielę o godz. wpół do 4tej po poł. Isze popołudniowe przedstawienie po raz 14sty „Na Łyczakowie" obraz sceniczny ze śpiewami i tańcami w 4 akt. Fr. Domnika. Wieczorem o godz. 7mej po raz 5ty „Wdowa z Malabaru" operetka w 3 aktach Hervego. — W poniedziałek z powodu wielkich przygotowań do wystawienia „Krzyżaków" i próby generalnej ze „Świata na opak" przedstawienia nie będzie. — We wtorek po raz 1szy „Świat na opak" fantastyczno-burleskowa operetka w 5 odsł. Krenna i Lindaua z muzyką Karola Kapellera. — We środę po raz 2gi „Świat na opak". — We czwartek po raz 1szy „Krzyżacy" obraz dziejowy w 10 odsłonach z powieści Sienkiewicza, przerobił na scenę Adolf Walewski. — W piątek po raz 2gi „Krzyżacy". — W sobotę po raz 3ci „Świat na opak".

Literatura i sztuka.

* **Kalendarz powszechny galicyjski** zastosowany do potrzeb wszystkich mieszkańców Galicyi na rok 1903 wyszedł we Lwowie nakładem i drukiem p. E. Winiarza. Kalendarz ten jest ładnie ilustrowany i posiada w części literackiej wiele interesujących utworów. Polecać go naszym czytelnikom nie potrzebujemy, gdyż od 54-ch lat cieszy się ogólną sympatyą i uznaniem.

Prócz tego kalendarza wydała drukarnia p. Winiarza na rok 1903 jeszcze kalendarz ścienny i bardzo gustowny kalendarzyk kieszonkowy.

Cześć ekonomiczna.

Wiedeń, 18 września.

(Z.) Stosunki na giełdzie, już wczoraj niezbyt pomyślne, dziś jeszcze bardziej się zaostrzyły. Wciąż bowiem niepewna sytuacya parlamentarna jest źródłem utrapień dla sfer giełdowych, a dziś przyłączyła się jeszcze do tego wiadomość, że węgierski prezes ministrów p. Szell zachorował i że z tego powodu dalsze rokowania ugodowe znów doznają zwłoki. Wreszcie i drożenie gotówki sprawia, że wielu spekulantów już teraz umyka z pola i likwiduje swe rachunki, gdyż obawia się, że czem później zabierze się do tego, tem drożej będzie to kosztowało, bo o potanieniu gotówki przed ultimem nie ma co i myśleć. Rezultat dzisiejszych obrotów jest prawie na całej linii ujemny. Akcye kredytowe spadły prawie o 4 korony, Statsbahny prawie o 6 koron, alpiny o 2 korony, czeskie górnicze o 19 K., akcye Schodnickie o 10 K. Nawet renty porwane dziś były ogólnym prądem zniżkowym.

Z Belgradu donoszą, że ażio złota, które ostatnimi czasy wynosiło w Serbii $2^1/_2$%, wczoraj podskoczyła nagle na $5^1/_2$% skutkiem pogłoski, iż rząd francuski nie chce udzielić zezwolenia na notowanie na giełdzie paryskiej kursu nowej pożyczki serbskiej. Później pokazało się, że rząd francuski wprawdzie zasadniczo nie odmawia tego zezwolenia, ale żąda, by mu wprzód rząd serbski dał gwarancyę, iż nie będzie lekkomyślnie powiększał bieżących długów państwowych Serbii.

Ostatnie notowania:

Akcye austr. Zakł. kredyt. 687·00, węg. Zakł. kredyt. 724·00. Anglobanku 279·00, Unionbanku 542·00, Länderbanku 424·50, Bankvereinu 457·50, Bodencredit 938·00, Gal. Banku hip. 538·00, Statsbahny 711·50, Lombardy 78·00, Kol. Elbethal 467·00, Północnej 0000, Czerniowieckiej 567·00, Alpiny 375·00, Rima Muranyi 496·50, Praskiego Tow. żel. 1519, Fabryki broni 000·00, Tureckie tytoniow. 320·50, Oblig. węg. indemniz. 97·95, Renta majowa 101·15, Austr. renta koronowa 100·25, Węgier. renta koronowa 98·05, 56-letnie Listy Tow. kredyt. ziem. 96·60, 4% Listy Banku krajow. 97·00, $4^1/_2$% Listy Banku krajow. 101·00, 4% Listy Banku hipotecznego 96·50, $4^1/_2$% Listy Banku hip. 100·60, 5% Listy Banku hipotecz. 110·00, 4% Gal. Oblig. propin. 99·15, 4% Gal. poż. kraj. z r. 1893 98·00, 4% Poż. m. Lwowa 94·75, Losy tureckie 116·00, Marki 117·05, Ruble 253.25.

§ **Z kolei.** Austr. Lindau przedarulański związek kolejowy. Z dniem 1 października 1902, a o ile podwyższenie cen przewozowych ma nastąpić z dniem 1 listopada 1902, wchodzi w życie dodatek V do części I taryfy z dnia 1 marca 1895.

TELEGRAMY „PRZEGLĄDU".

(*Depesze poranne*).

Budapeszt 19 września. *Budapester Tagblatt*, bardzo głupie brukowe pisemko, nie mające żadnego znaczenia i żadnej wartości, wydawane dla kucharek i dorożkarzy, wypowiada o wyroku w sprawie Morskiego Oka następujące zdanie. Węgrzy będą zwalczali wyrok, który zapadł w sprawie Morskiego Oka, dotychczas bowiem nie rozstrzygnięto, kto ma prawo do Morskiego Oka, a dr. Winkler skonstruował granicę według własnego zapatrywania. Nie sąd rozjemczy, ale dr. Winkler sam przyznał Galicyi ze szkodą dla Węgier obszar kraju, do którego Galicya, jak się sam dr. Winkler wyraził, nie zdołała wywieść swoich praw. Coś podobnego na świecie nie widziano, a takiego wyroku nikt uznać nie może. Sędziowie węgierscy zaprotestują przeciw wyrokowi dr. Winklera i zbierać będą dalszy materyał dowodowy.

Wiedeń 19 września. *Reichspost*, zacytowawszy artykuł *Budapester Tagblattu* o wyroku w sprawie Morskiego Oka, zapytuje, czy Węgrzy przez odrzucenie wyroku wywołać chcą skandal międzynarodowy.

Budapeszt 19 września. *Budapesti Hirlap* donosi, że między Galicyą a Węgrami wybuchł nowy spór graniczny. W tym punkcie granicznym, gdzie Dunajec wchodzi na terytoryum galicyjskie, wezbrana rzeka urwała niedawno kawał brzegu i przeniosła go na stronę Galicyi. Właściciele oderwanej części brzegu przeprawili się przez rzekę i zajęli ten kawał ziemi w posiadanie, ustawiwszy na nim węgierskie pale graniczne. Ze strony austryackiej podniesiono przeciw temu protest. Władze wysłały na miejsce sporne żandarmów, aby przeszkodzić ewentualnemu starciu między stronami spornemi.

Bruksela 19 września. W stanie zdrowia królowej belgijskiej Maryi Henryki nastąpiło niespodziewanie polepszenie.

Budapeszt 19 września. Wydane przez ministerstwo rolnicze dnia 15 b. m. sprawozdanie o stanie zasiewów w Węgrzech stwierdza zły ich stan.

Celowiec 19 września. Wybory do sejmu karynckiego rozpisano na dzień 5 listopada.

Belgrad 19 września. Kilka dzienników, a między nimi i oficyalny *Dniewnik* donoszą z pewną rezerwą, że w Paryżu obstają przy tem, aby w układzie o pożyczkę serbską poczyniono pewne zmiany. Ponieważ atoli te zmiany sprzeciwiają się uchwałom, powziętym przez skupczynę co do pożyczki 60-milionowej, oraz pełnomocnictwom, jakie otrzymali delegaci rządu, rząd serbski nie może się na nie zgodzić i doniósł o tem swoim delegatom w Paryżu.

Paryż 19 września. Minister wojny przeniósł w stan spoczynku podpułkownika Saint Rémi, który się sprzeciwił zamykaniu szkół zakonnych.

Budapeszt 19 września. W Koszycach tłum wybił szyby wystawowe w domach, które nie były przybrane chorągwiami z okazyi uroczystości Koszuta. Aresztowano trzech młodych ludzi.

Kursk 19 września. Na cześć szacha perskiego odbył się wczoraj w namiocie carskim obok stacyi Ryszków obiad galowy; car wzniósł toast na cześć szacha z okazyi jego urodzin. Szach podziękował za przyjęcie i wzniósł toast na cześć cara.

Haga 19 września. W izbie deputowanych minister van Berlinden podczas obrad nad adresem w odpowiedzi na mowę tronową, oświadczył, iż wszelkie pogłoski o związku Holandyi z jakiemkolwiek mocarstwem są nieuzasadnione. Stosunki polityczne Holandyi pozostały niezmienione, ani się nie rozluźniły, ani też nie nastąpiło silniejsze związanie się z jakiemkolwiek mocarstwem.

Budżet Holandyi na rok 1903 wykazuje w wydatkach 164 i pół miliona; deficyt wynosi 8 milionów. Z tego 3 do 4 miliony przypada na wydatki nadzwyczajne, a między innemi znajduje się pozycya na budowę pałacu dla poselstwa holenderskiego w Pekinie. Celem powiększenia dochodów podwyższony będzie podatek od wódki.

(*Depesze popołudniowe*).

Paryż 18 września. Ogólnie sądzą, że już zapadła decyzya co do zwołania Izby deputowanych na 14 października. *Echo de Paris* twierdzi, że prezydentowi ministrów spieszno wnieść uzupełniający projekt do ustawy kongregacyjnej, według którego rząd mógłby jeszcze energiczniej postępować bez obawy interwencyi sądów.

Gaulois donosi, że w Izbie deputowanych pojawią się interpelacye w sprawie mów ministra Pelletana w Ajaccio i Bisercie.

Niektóre dzienniki donoszą, że włoski ambasador oświadczył Delcassému, że rząd włoski nie przywiązuje żadnego znaczenia do mowy Pelletana, gdyż twierdzenia tego ministra nie odpowiadają zapatrywaniom rządu francuskiego.

Poznań 19 września. Na wczorajszem posiedzeniu rady miejskiej zgodzono się bez dyskusyi na 15-milionową pożyczkę, którą władze miejskie zaciągają — a raczej, jak twierdzą wtajemniczeni — już dawno zaciągnęły. Poznań ma obecnie 32 milionów marek długu, a więc jest bardziej obdłużony niż Lwów, jakkolwiek jest o połowę mniejszym od Lwowa.

Pekin 19 września. Biuro Reutera donosi, że wojska rządowe zapewniają, iż pokój w miejscowości Feng-tschu-fu już przywrócono. Bramy miasta są jednak jeszcze zamknięte. Czternastu przywódzców niepokojów i rozruchów stracono.

Konstantynopol 19 września. Ormiański patryarcha Ormanian przedstawił w Yildizpałacu, że mimo ostatniego irade stosowane są na prowincyi jeszcze ciągle wyjątkowe zarządzenia wobec Ormian. Nadto prosił sułtana, aby pozwolił wrócić tym Ormianom, którzy wyemigrowali byli do Rosyi.

HOTEL GEORGEA.

Przyjechali dnia 19 września. Hr. S. Komorowski z Siekierczyc. Hr. H. Stecki z Rosyi. Hr. J. Romerowa z Brzuchowic. Hr. M. Prigzini z Włoch. A. Sharpe z Londynu. W. Thanel z Sternbergu. S. Manesberger z Warszawy. W. Marmoross z Karowa. J. Kaiser z Wiednia.

HOTEL EUROPEJSKI

Lwów — Plac Maryacki

ALBERT SZKOWRON.

Przyjechali dnia 19 września. Hr. K. Krusenstern z Niemirowa. M. Waryński z Kijowa. Fr. Schmoll z Szwajcaryi. J. Lipoczy z Budapesztu. W. Małecki z Turad. A. Trenzel z Wrocławia. J. Neufeld i L. Żupnik z Wiednia. W. Borzyński z Buczacza. J. Golda z Kobylanki. J. Rużiczka z Saaz. J. Gużkowski z Kołomyi. J. Fabrici z Sambora.

HOTEL FRANCUSKI.

Lwów — Plac Maryacki.

Pierwszorzędny hotel z komfortem urządzony, pilzneńska restauracya z pokojem do śniadań, cukiernia w miejscu.

Przyjechali dnia 19 września. J. Jakubowski z Krakowa. L. Dobowski ze Stryja. Z. Złowodzki, N. Miklasiewicz i J. Rudnicki z Królestwa J. Stojek z Płażowa. P. Sosenko z Płauczy. J. Radziejowski z Komańczy. J. Trabauer i H. Mandl z Wiednia. K. Ciecharzewski z Moszkowa. J. Fanta z Tryestu. A. i S. Abgarowiczowie z Bratyszowa. W. Rubińska z Żurawna. E. Sutter z Bielska. M. Banatowscy z Gusztyna. W. Gnoińscy z Krasnego. L. Bauer z Pragi. L. Friesch z Trembowli.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.

Giełda południowa (godzina 12 minut 30). Wiedeń 19 września.

Marki 117.11, renta majowa 101.15, węg. renta koronowa 98.15, Akcye: austr. zakł. kredyt. 686.50, węg. zak. kred. 726.00, anglobanku 278·00, unionbanku 541.—, bankvereinu 458.00, länderbanku 401.00, kolei państw. 713·50, lombardy 78 25, akcye kolei Elbethal 466.00, fabryki broni —.—, tytoniowe 319 00, alpiny 373 50, Rima Muranyi 498 50, pragskiego Tow. żel. ——, losy tureckie 116 00, ruble 253 25. Usposobienie silne.

Wiedeń 19 września. Kursa giełdowe.

Losy: a) procentowe:

Austr. zakł. kr. z obl. pr. z r. 1880	3%	265.50
" " " " " 1889	3%	263 —
Tow. żegl. na Dunaju 100 zł. m.k.	4%	—.—
Uregulow. Dunaju z r. 1870 100 zł.	5%	288 50
Węg. Banku hipotecznego po 100 zł.	4%	254 50
Pożyczka serbska prem. po 100 fr.	2%	91 —
Tureckie obl. prem. kolej po 400 fr		115 40

b) bezprocentowe:

Budapeszteńskie (Basilica) 5 zł. 19 25, Zakł. kred. dla h. i p. po 100 zł. 428.—, Ciary 40 zł. m. k. 205 —, Pożyczka m. Insbruku 20 zł 88.00, Losy m. Krakowa 20 zł. 79.—. Pożyczka m. Lublany 20 zł. 79.—, Ofen 40 zł. 198.00 Palffy 40 zł. m. k. 193.00, Czerw. krzyża austr. 10 zł. 54.70, Czerw. krzyża węg. 5 zł. 27 90 Losy fund. arcyks. Rudolfa 10 zł. 72.—, Salma 40 zł. m. k. 250 00, Pożyczka salcburska 20 zł. 83.—, Pożyczka St. Genois 40 zł. m. k. 260.00 Losy komunalne m. Wiednia r. 1874 426 —

Wiedeń 19 września. (Giełda towarowa). Cukier 17·40 (spokojnie). Nafta galicyjska bez zmiany. Spirytus (bez ochoty) 40·—.

Berlin 19 września. (Zamknięcie giełdy). (Podług obliczenia procentowego). Banknoty austryackie 85 45. Spirytus 00 00.

Paryż 19 września. (Zamknięcie giełdy). Trzyprocentowa renta 100·05. Mąka („Fleur de Paris") 28 55.

Frankfurt 19 września. (Giełda zagraniczna). Kredyty austryackie 216·50. Koleje państwowe 000 00 exclusive kupon. Alpiny 000·00. Disconto 187·40. Laura 000·00.

Wiedeń 19 września. (Giełda zbożowa). (Kursa w koronach i po 50 kilogramów). Pszenica na jesień 7·14—7·16, na wiosnę 7·39—7·41; żyto na na jesień 6·46—6·47, na wiosnę 6·61—6·63; kukurudza na sierpień-wrzesień 0·00—0·00, na wrzesień-październik 5·98—6·00, na maj-czerwiec 0·00—0·00; owies na jesień 5·98—5·99, na wiosnę 0·00—0·00. Rzepak na sierpień-wrzesień 10·65—10·75. Olej rzepakowy 00—00. Tendencya: silne. Pogoda: zmienna.

Budapeszt 19 września. Giełda z powodu święta narodowego zamknięta.

Lwów 19 września. (Z izby handlowej). Obliczenie w walucie koronowej.

Akcye za 100 K.: Kolej gal. Karola Ludwika po 420 Koron —·00 do —·00, Kolej Lwowsko-Czern.-Jaska po 400 kor. 565.00 do 575.00. Banku hipotecznego po 400 kor. 536.00 do 550·00. Akcye garbarni w Rzeszowie po 400 kor. —·— do 000·—. Tow. budowy wagonów w Sanoku po 500 koron 000·— do 850.—. Banku dla handlu i przemysłu po 400 k. 840.— do 860.—.

Listy zastawne za sztukę: Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 50 lat. z 10 proc. prem. 109·70 do 000·00 4 i pół proc. los. w 50 lat 100·— do 100 70, 4 proc. los. w 60 lat 95.80 do 96·50. Banku kraj. 4 i pół proc. los w 51 lat 101.20 do 101.90 Banku kraj. 4 proc. los w 57 lat 97·00 do 97·70. — Tow. kred. gal. ziemskie 4 proc. (I emisya) 96·50 do 97·20, 4 proc. los w 41 i pół latach 96.70 do —.—, 4 proc. los w 56 lat 96·20 do 96.90.

Obligi za sztukę: Gal. fund. propinacyjnego 4 pro 99·00 do 99·70. Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 102·50 do —·—. Kom. Banku kraj. 5 proc. (II emisyi) 102·30 do 103 00. Kolejowe lokalne Banku krajowego 4 procentowe po 200 koron 97·00 do 97·70. Pożyczki kraj. z r 1873 6 proc. —·— do —.—. 4 proc. z 1893 r. 97 80 do 98 50, miasta Lwowa 4 proc. po 200 koron 94·30 do 95·00, $4^1/_2$% po 200 koron 100·50 do 101.20.

Monety. Dukat cesarski 11·22 do 11·34. Napoleondor 19·00 do 19·20. Rubel rosyjski papierowy 252 50 do 254.50. 100 marek niemieckich 116 90 do 117·40.

Ruch pociągów kolejowych

ważny od 1go maja 1902 roku według czasu środkowo europejskiego.

Przychodzą do Lwowa:

Z Krakowa: **2.31***, **1·35**, **8·40***, 6·10, 8·50, 5·50 i 9,50.
Z Rzeszowa: 10·25.
Ze Szczerca (od 1/6 do 15/9 w niedz. i święta) 9.32*.
Z Podwołoczysk (na dworzec główny): **2·35**, 8·00, 5·86 10·20*; na Podzamcze: **2·20**, 7·40, 5·11, 10·02*.
Z Tarnopola: 3.55* (na dw. gł.); 8·14* na Podzamcze.
Z Czerniowiec: **12·15***, **1·45**, 6·20, 5·40 i 9·30*.
Ze Stanisławowa: 11·55.
Ze Stryja: 8·10, 1·10, 4·40, 10·50*.
Z Brzuchowic (od 15/5 do 14/9 włącznie) 6.50, 9.12*.
Z Brzuchowic (od 15/5 do 14/9 włącznie w niedziele i święta) 8·14, 8·04*.
Z Janowa 7·45, 1·28, 9·25*, 10·08*.

Odchodzą ze Lwowa:

Do Krakowa **12·45***, **8·30**, **2·55**, 4·15*, 8·40, 6·20*, 11·00*
Do Rzeszowa: 3·30.
Do Przemyśla: 8·25*.
Do Szczerca (od 1/6 do 15/9 w niedz. i święta) 2.00.
Do Podwołoczysk z dworca głównego: **1·55**, 6·30, 9·00* 11·10*; z Podzamcza: **2·09**, 6·48, 9.20*, 11·32*.
Do Tarnopola: 10·40 z dw. głównego i 10·57 z Podzamcza.
Do Czerniowiec: **2·51***, **2·40**, 6·25, 10·30, 10·30*.
Do Stanisławowa 6·10*.
Do Stryja: 6·35, 9·00, 3·05, 6·35*.
Do Brzuchowic (od 15/5 do 14/9 codziennie) 5.50*, 8.26.
Do Brzuchowic (od 15/5 do 14/9 wł. w niedziele i święta) 2.15, 8.16*.
Do Janowa: 9·15, 1·25, 3·15 6·30*, 10·05*

Uwaga. Pociągi pośpieszne drukowane są literami tłustemi; pociągi nocne oznaczone są gwiazdką. Pora nocna liczy się od godz. 6 wieczór do 5 min. 59 rano.

27)
Człowiek niewidzialny.

Romans fantastyczny
H. G. WELLSA.

(Ciąg dalszy).

Uderzenia jej stawały się coraz głośniejsze. Służąca biegła tam, ale zatrzymała się w jadalnym pokoju, bo nagle drzwi od kuchni pękły.

— Tutaj! — krzyknął Kemp, stawiając jednego policyanta we drzwiach korytarzyka, wiodącego od kuchni do jadalni, a drugiego przy drzwiach jadalni. Uzbroił jednego w tasak, który leżał na stole kuchennym, drugiemu dawał swój pogrzebacz, ale w tejże chwili wytrąciła mu go z rąk siekiera; rozległ się wystrzał. Policyant tymczasem podniósł pogrzebacz z ziemi i z całych sił uderzył nim po rewolwerze, zawieszonym w powietrzu, i obalił go na podłogę.

Służąca otwierała okiennice; chciała może wymknąć się przez potłuczoną szybę. Wtem nad głowami policyantów zawisła siekiera.

— Z drogi! — zawołał Głos niewidzialny. — Nic wam nie zrobię. Chcę tylko załatwić się z Kempem.

— My chcemy załatwić się z tobą! — rzekł policyant, zamierzając się tasakiem, lecz siekiera opadła na jego hełm; silne jej uderzenie powaliło go na ziemię.

Drugi policyant zamierzył się pogrzebaczem na siekierę; padł okrzyk bólu, siekiera potoczyła się na ziemię. Policyant przydeptał ją nogą i zamierzył się znowu pogrzebaczem.

Uciszyło się na chwilę. Potem usłyszeli kroki w jadalni i otwierające się tam okno. Obalony policyant próbował się podnieść. Krew spływała mu po twarzy.

— Gdzie Człowiek Niewidzialny? — zapytał.

— Zdaje się, że go raniłem — odparł towarzysz. — Wysunął się przez drzwi... Jest teraz w jadalni. Panie doktorze! Panie doktorze! — zawołał znowu.

Tymczasem raniony policyant podniósł się. Obaj weszli do jadalni.

— Doktorze Kemp! — zawołał pierwszy.

— Doktor Kemp jest bohaterem — zaśmiał się drugi.

Okno było otwarte. Kemp i służąca uciekli przez nie. Pierwszy policyant wydał o doktorze sąd ostrzejszy, choć mniej ironiczny od zdania kolegi.

ROZDZIAŁ XXVIII.
Ze ścigającego — ścigany.

Pan Heelas, najbliższy sąsiad doktora Kemp, drzemał w swojej willi, gdy zaczęło się oblężenie domu doktora.

Pan Heelas należał do tej znacznej większości, która nie chciała uwierzyć w takie „bzdurstwa“, jak legenda o Człowieku Niewidzialnym. Żona jego wszelako dawała zupełną wiarę tym posłuchom.

Staruszek naprzekór innym nie zamknął się w swym domu, lecz chodził po ogródku, a o zwykłej porze usiadł w fotelu przy oknie i zdrzemnął się. Nagle obudził go hałas. Staruszek spojrzał na dom Kempa, stojący po drugiej stronie ulicy, przetarł oczy i popatrzył znowu. Dom tak wyglądał, jakby opustoszał oddawna i to po gwałtownej bójce. Wszystkie okiennice były pozamykane, oprócz pracowni.

— Zdaje mi się, że pół godziny temu wszystko było tam w porządku — myślał pan Heelas.

Wtem usłyszał brzęk szkła, a potem zobaczył rzecz bardzo dziwną. Okiennice w pokoju jadalnym otworzyły się raptownie i pokojówka w kapeluszu i pelerynce szarpała i wstrząsała ramę okna; pomagał jej w tem jakiś mężczyzna — doktor Kemp, jak się okazało.

Okno otworzyło się, dziewczyna wyskoczyła i zniknęła wśród krzewów. Pan Heelas wstał zdumiony. Po chwili ujrzał wyskakującego przez okno doktora Kemp; dostawszy się na ulicę, biegł co tchu, kryjąc się pomiędzy krzaki, jak gdyby się przed kim chował. Zmierzał ku willi pana Heelas.

— Wielki Boże! — zawołał staruszek, uderzony nagłą myślą. — Ucieka zapewne przed Człowiekiem Niewidzialnym... A więc mówili prawdę.

Pan Heelas, pozbywając się odrazu swego niedowiarstwa, zadzwonił na kucharkę.

— Zamykaj drzwi, okna! Zamykaj wszystko! — krzyczał. — Biegnie do nas Człowiek Niewidzialny!...

Zawrzało w całym domu, jak w garnku. Staruszek pobiegł sam do bawialni i zamknął okno weneckie, wychodzące na werandę. W chwili tej właśnie nad parkanem ogrodowym zawisło kolano, a potem głowa i ramiona doktora Kemp. Przesadził on parkan i jak kula wpadł do szparagarni, a stamtąd przez plac lawn-tennisowy biegł ku domowi.

— Nie mogę pana wpuścić... — oświadczył pan Heelas, zamykając mu okno przed nosem. — Nie mogę pana wpuścić, gdyż ściga pana Człowiek Niewidzialny.

Kemp dobijał się do weneckiego okna, stukał w szyby, a widząc, że jego wysiłki są daremne, przebiegł przez werandę i począł się dobijać do drzwi bocznych. Ale i tu nic nie wskórał, więc zawrócił się i przez furtkę wybiegł na drogę.

Pan Heelas, patrzący wciąż przez okno, ku swemu nieopisanemu zdumieniu zobaczył po chwili, że jego szparagi uginają się i łamią, jak gdyby ktoś po nich deptał. Pan Heelas uciekł na górę i nie widział już, co się działo dalej. Słyszał tylko, że ktoś furtkę zatrzasnął.

Wybiegłszy na drogę, doktor Kemp zlatywał ze wzgórza, tak jak przed czterema dniami pan Marvel, któremu teaże doktor Kemp przypatrywał się przez okno swej pracowni.

Biegł szybko, choć nie miał wprawy w tego rodzaju ćwiczeniach fizycznych, był spocony, zziajany, nie tracił jednak przytomności umysłu. Wymijał zręcznie miejsca posypane szkłem i po raz pierwszy w swem życiu spostrzegł, że pagórek, na którym wznosił się jego dom, jest bardzo wyniosły, zamało zabudowany i zbyt odległy od miasta.

Wszystkie wille były zamknięte szczelnie i to zamknięte z jego rozkazu. Ta myśl doprowadzała go do wściekłości. Że też nikt, bodaj przez ciekawość, nie wyziera przez szpary i serca w okienicach, że też nikt nie widzi, iż to on szuka przytułku, nie zaś Człowiek Niewidzialny!

Miasto zaczynało się budzić z poobiedniej drzemki, tramwaj szedł właśnie ulicą u stóp pagórka. W pobliżu był odwach policyjny.

Doktor Kemp słyszał coraz wyraźniej tupot bosych nóg za sobą.

Ludzie patrzali na niego ze zdziwieniem; biednemu doktorowi tchu brakło. Zamykano hałaśliwie szynk „Pod wesołym Cyklistą“. Po za torem tramwajowym piętrzyły się stosy ziemi, wykopanej przy robotach kanalizacyjnych. Kemp chciał wskoczyć do tramwaju i zasunąć drzwi za sobą, ale po szybkim namyśle zdecydował się podążyć do policyjnego odwachu.

Minął szynk „Pod wesołym Cyklistą“ i pędził dalej, a za nim coraz większa liczba gapiów. Konduktor zatrzymał tramwaj, widząc, że Kemp chce wskoczyć i nie mógł zrozumieć, dlaczego doktor nie wykonał swego zamiaru. Nadbiegali z portu majtkowie i przypatrywali się temu wszystkiemu ze zdziwieniem. Doktor zwolnił biegu, ale po krótkiej chwili puścił się znowu pędem, słysząc po za sobą kroki swego prześladowcy.

— Człowiek Niewidzialny! — krzyknął Kemp do marynarzy, wskazując palcem po za siebie.

Cały rząd majtków zasłonił go przed pogonią. Doktor zaniechał myśli wstąpienia do cyrkułu, wpadł w boczną uliczkę, zawahał się chwilkę przed sklepikiem korzennym, wreszcie skręcił w aleję, prowadzącą na wzgórze.

Przebiegł znowu przez tor tramwajowy. Kilkoro dzieci bawiło się u stóp wzgórza; ujrzawszy go, podniosły wrzask. Otwierano drzwi i okna, matki wciągały dzieciaki do domów. Wtem doktor usłyszał krzyki za sobą.

Odwrócił się. O jakie dwanaście kroków po za nim biegł majtek, wymachując szpadą; konduktor tramwajowy pięścią wygrażał. Kobiety i mężczyźni zbiegali ze wzgórza, pędząc ku miastu; z pobliskiego sklepiku wypadł jakiś człowiek, uzbrojony w potężną laskę.

— Z drogi! Z drogi! — krzyczano.

Kemp zauważył odrazu, że pogoń ma już zupełnie inny charakter. Rozejrzał się dokoła.

— On musi być w pobliżu — zawołał. — Ustawcie się szeregiem...

Nie dokończył; dostał tak silny policzek, że aż się zachwiał na nogach; potem otrzymał gwałtowne pchnięcie w bok, runął na ziemię. Niewidzialne kolano przytłoczyło mu klatkę piersiową, niewidzialne ręce dusiły go za gardło.

(Dokończenie nastąpi).

Redaktor odpowiedzialny: **Ludwik Masłowski.** Papier z fabryki Czerlańskiej. Z drukarni E. Winiarza.